

**JÓZEF IGNACY
KRASZEWSKI**

KRÓL CHŁOPÓW

Józef Kraszewski

Król chłopów

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843494

Król chłopów:

Аннотация

Podtytuł tej książki brzmi: „Powieść historyczna z czasów Kazimierza Wielkiego”. I to właśnie król Kazimierz Wielki jest jej głównym bohaterem. Z kilku obrazów historycznych dowiadujemy się, że intensywnie pracuje nad rozwojem kraju, rozbudowuje miasta, mury miejskie i zamki obronne. Swoimi działaniami wspiera handel, rzemiosło i górnictwo. Niezwykle wiele uwagi poświęca najniższej warstwie społecznej – chłopom. Chroni ich przed krzywdą i niesprawiedliwością, działa na rzecz ich pełnego równouprawnienia prawnego ze szlachtą. Jednak jego działania nie podobają się rycerstwu i możnowładztwu, którzy obawiają się utraty swojej pozycji. Przeciwno królowi zawiązuje się sojusz pod przywództwem Macieja Borkowica. Król chłopów to jedna z 29 powieści historycznych wchodzących w skład cyklu Dzieje Polski Kraszewskiego.

Содержание

Tom I	4
Prolog	8
Księga pierwsza. Margareta	25
Księga druga. Wiaduch	102
Tom II	169
Księga trzecia. Baruczka	169
Конец ознакомительного фрагмента.	173

Józef Ignacy Kraszewski

Król chłopów

Tom I

Panu

*Władysławowi Chodźkiewiczowi
w Paryżu.*

Kochany Władysławie! Pierwszą z szeregu tych powieści historycznych przypisałem nieodżałowanemu Bronisławowi Zaleskiemu – tę przesyłam Tobie, jako dowód przyjaźni szczerzej, szacunku i wdzięczności za wiele oznak życzliwości. Przyjm tę maluczką ofiarę takim sercem, jak ja przesyłam, a bądź w ogóle dla całego szeregu tych opowiadań pobłażającym. Trudność zadania, o które się pokusiłem, zuchwalstwo, z jakim je podjąłem, nie potrzebuje wyjaśnienia. Bije w oczy ogrom i wszystko, co było i jest do zwalczenia, aby podolać temu obrazowi dziejów, wcielonych w główne postacie historyczne.

Nie łudziłem się też nigdy, bym w zupełności wymaganiom nader rozlicznym mógł odpowiedzieć. Czyniłem i czynię na co mnie staje, sądząc, że mi w rachunek i to zaliczonym będzie, że potrzeba było rodzaju ofiary i wyrzeczenia się, by taki ciężar dobrowolnie wziąć na ramiona, pod którego brzemieniem upaść

się musi.

Dla jednych jest tu za wiele, dla drugich za mało, dla nikogo prawie to, czego chciał i jak mieć życzył. Z rezygnacją przyjmuję najsprzeczniesze sądy, w duszy będąc przekonanym, że szereg tych powieści, jakiegokolwiek one są, wiele rysów zatartych odświeży, wiele nowych uwydatni, wiele postaci godnych pamięci przypomni. Sama polemika, choćby najdziwaczniejsza – bo i z taką mi się spotkać zdarzało, która dowodziła, że krytyk nie przeczytał z uwagą tego o czym sądził – ma swe dla ogółu pożytki. Na wszystko odpowiadam: uczyńcie więcej a nadewszystko lepiej – cieszyć się będę.

Zarzutów. jakie mi czyniono, począwszy od drobnostkowych szczegółów, które do mnie nie należały – aż do tendencji, pospiechu i t. p. odpierać nie będę. Co do pospiechu dodam tylko, że często po trzy razy przepisuję, a zawsze cztery razy odczytuję. Jest zresztą w słabości natury mojej, w jej właściwości, to, że zwykłe opracowywanie, dla innych pożyteczne – u mnie daremnie się staje lub nawet szkodliwym. Są tacy nieszczęśliwi, do których ja należę, którym nie dano jest nic przerobić – bez zepsucia. Nieubłagana jakaś, choć może fałszywa logika, zmusza co się narodziło ułomnem, orthopedycznym doświadczeniom nie poddawać, aby większego nie ściągnąć nań kalectwa.

Wszystkie, prawie bez wyjątku krytyki, które mi do rąk wpadły, z nadzwyczajnem staraniem wszelkie możliwe usterki podnosiły; nie zdarzyło mi się ani jednej czytać, któraby jakąś

stronę lepszą podniosła.

Takie jest u nas pojęcie krytyki w ogóle i zadania krytyka. Każdy z tych sędziów chce tym swą wyższość nad autorem pod skalpel wziętym okazać, że wszystkie plamy i plamki dostrzega nadzwyczaj bystro. Idzie mu o siebie nie o rzecz, którą rozbiera. Jest to tak dotykalnie widoczném, że często uśmiech wywołuje... Słabość to ludzka.

Ale najgorsza nawet krytyka ma swą dobrą stronę...

Chwalić się samemu niepodobna, *propria laus sordet*, mówiono nam w szkołach, bronić się nawet nie przystało. Niech więc wolno będzie przypomnieć, że opowiadania te historyczne, wymagają wielkiej pracy przygotowawczej, która nie postrzeżoną dla czytelnika pozostaje i wsiąka w utwór fantazją ubarwiony. Autor starał się i stara szczegóły dobyć z pyłu i zapomnienia, gdy są charakterystyczne, wysnuwa z nich wnioski, i do przesady może posuwa sumienność w czerpaniu ich u źródła. Jak trudno przy tem, z często nader niedostatecznych napomknień, z tych okruchów i obłamków odtwarzać żywe postacie – nie potrzeba mówić o tem.

Za długo się może, za obszernie o tem rozpisuję, chociaż przedmiot wcale wyczerpany nie jest. Chciałem się po prostu w tym otwartym liście do Ciebie poskarżyć. Skarga to, próżna może, którą mi Ty i czytelnicy przebaczą, próżna, bo co żyć warto i ma w sobie życie – to mimo krytyki, nie zginie, a co ma w sobie zaród śmierci i brak warunków żywotnych, umierać musi. Na to żadne środki kunsztowne, ani przyjacielskie pochwały nie

pomogą. Zatem – bądź co bądź, człowiek czynić powinien co może, a sprawiedliwość dokona, do czego jest obowiązana.

Proszę Cię o współczucie, a z Tobą razem wszystkich Czytelników moich.

Przyjaciół i sługa wierny

J. I. Kraszewski.

Hyères, d. 6 Kwietnia 1881.

Prolog

W wielkiej sklepionej sali krakowskiego zamku, na dole, mrok się już wieczorny rozpościerał. Wąskie okna jej, głęboko w mur wpuszczone, w większej części były gęstemi przysłonięte oponami, przez drugie mało się już gasnącej światłości wkradało. Włoska lampka oliwna zapalona stała w kącie, ale słaby jej ognek ledwie małą przestrzeń ruchawym rozjaśniał promykiem. Cisza głęboka panowała w obszernej izbie; w przedsieniach, na podwórzach ledwie się co poruszało.

W kościele Ś. Wacława na zamku cicho dzwoniono żałobnie na wieczorną modlitwę.

W jednym sali rogu na szerokim łożu skórami i sukniami okrytem, widać było z ciemnego tła jedwabnych przykryć, na których spoczywała, twarz wybladłą, z oczyma zamkniętymi, jakby uspiętego człowieka lat podeszłych.

Z jednej strony łoża stał w czerni, w sukni duchownych, mężczyzna stary, wpatrzony w leżącego, z brwiami ściągniętymi, z drugiej, na wielkim siedzeniu, w pół klęczący, pochylony troskliwie, niespokojne oczy wlepiając w chorego, młodzieniec w kwiecie wieku, silny, piękny, rysów szlachetnych, pańskiego oblicza. Ręce trzymał załamane na kolanach.

Opodal nieco niewiasta w długiej sukni szarej, obcistej, z zasłoną na głowie, z różańcem w rękę, modliła się, żywo paciorki jedno po drugim przebierając palcami wychudłymi.

W nogach łoża z rękami do modlitwy złożonemi, cicho coś szepcząc, oczy wzniosłszy ku niebu, stał mnich w sukni białej, w płaszczu czarnym.

Na łożu tem wyczekiwał śmierci i wyzwolenia król, co przeszło pół wieku walczył dla połączenia w jedno, rozszarpanego dziedzictwa Mieszka i Chrobrego – Władysław zwany Łoktkiem, mąż wielki małego ciała, a potężnej ducha siły.

Czuł on sam, widzieli wszyscy przybliżającą się ostatnią godzinę.

Nie choroba, nie rany zwyciężyły go i obaliły; długi trud, niezmierne troski wyczerpały sił ostatek. Gasnął powoli, bo życia ogień wypalił się w nim do dna.

Umierał z tą mocą duszy z jaką żył, mężny i spokojny; nie broniąc się śmierci, pożądając jej, zstępując do grobu z pociechą w sercu.

Nie dokonał wszystkiego, co zamierzał, ale niewiele brakło do spełnienia myśli jego, zrodzonej w dzieciństwie, wykołysanej życiem, dojrzałej w bojach...

Myśl swą spuścizną zostawiał synowi.

Mnich, stojący w nogach łoża, pobożny dominikanin Heljasz już był przejednał króla z Bogiem. Władysław dnia tego wolę swą objawił mężom dostojnym, ojczycom królestwa swego i pożegnał wszystkich; rozstał się z żoną, pobłogosławił syna, któremu Polskę oddawał, ziemianom zleciwszy jedyne dziecko.

Lekarz kanonik Wacław przepowiadał zgon bliski; królowa Jadwiga płacząc powtarzała modlitwy za konających, lecz śmierć

nie przychodziła jeszcze...

Wojownik stary bronił się jej resztą potęgi, w bojach mnogich nabytej.

Król się tylko usypiać zdawał. Oddech jego stawał się to przyspieszonym gorączkowo, to słabym tak, że go ledwie czuć było. Zapadłe powieki podnosiły się nagle, głowa poruszała, zaschłe usta otwierały, zbladłe oczy biegały po otaczających, i Łoktek chwilowo powracał do życia.

Duch starego wojownika jak przykuty do tego starganego wiekiem ciała, nie mógł się z niego wyzwolić.

Nadchodziła noc, po której wracający dzień już, wedle przepowiedni lekarza, króla nie miał zastać między żywymi.

Medyk patrzył zdumiony i upokorzony, bo na tem łożu śmierci działo się cud – walka się odbywała nieprzewidywana, niewidoma, nieznaną mu – życie opierało się zniszczeniu.

Łoktek powracał doń snem pokrzepiony.

Oblicze jego przybrało już dawno tę barwę trupią, bezkrwistą, wyśótkłą, która nadchodzącego zgonu czytać na niem dozwalała; lecz piersi się poruszały, oddech był widoczny. Zeschłe płuca odzywały się w nim jeszcze głucho i smutnie... powietrze w nich chrzęszczało.

Stojący nad chorym kanonik lekarz, dał z lekka znak, aby mu spoczynku nie przerywano i sam począł na palcach odchodzić. Cofnął się też, ujrawszy to, mnich Heljasz i królowa po cichu, powolnie ku drzwiom zwróciła.

Król usypiał.

Wszyscy, po dniu tym wzruszeń pełnym, zapragnęli usunąć się do bocznej komnaty i tam czekać przebudzenia, gdyż jeszcze się go spodziewano.

Jeden syn pochylony przy ojcu pozostał nieruchomy.

Na dany przez matkę znak, potrząsnął głową, wskazał na ojcowskie łoże, dając łatwo zrozumieć, że chciał czuwać przy nim.

Niedawno jeszcze z ust jego słyszał ostatnie wyrazy błogosławieństwa i przestrogi – niedawno brzmiały tu głosy zwołanych panów rady – królewicz-następca wzruszony był. Do łoża konającego wiązała go miłość, wdzięczność i ta troska o jutro, która brzemieniem całej, nieznaney przyszłości leżała na piersiach jego.

Łzy kręciły mu się w oczach...

Złotą była korona, którą miał włożyć na młodocianą skroń ale ciężką.

Zwolna wysunęli się wszyscy ku drzwiom bocznym, których zasłonę królowa podnieść kazała, aby być na najmniejszy szelest, na zawołanie powrócić gotową.

Nieruchomy w tej półkłęczącej postawie królewicz, został jak przykuty do siedzenia i łoża. Wzrok jego na twarzy bladej ojca spoczywał.

Oblicze to było żółkłe jak karta pergaminowa i jak ona życiem zapisana długiem. Nigdy może wprzód, gdy był w pełni sił, nie stały na niej wyryte dobitniej męztwo, rezygnacja, siła, spokój i żelazna wola. Teraz tylko wszystkie te charakteru

znamiona oblewała światłością przedśmiertną jakaś błogość –
pogoda dnia ostatniego.

Któż nie widział na obliczu umierających, mocnych na
duchu, bojowników zwyciężkich, tego wyrazu szczęśliwości, jaki
wdziewa śmierć wiodąc ich do grobu?

Wszystkie cierpień ziemskich ślady zagładza palec anioła
śmierci.

Z za brózd, marszczek i fałdów promieniało oblicze stare
króla wypięknione i jasne.

Syn patrzył na nie z pobożnem zdumieniem, bo nigdy go
takim nie widział.

Jeszcze przed chwilą, gdy król z gorącością przemawiał do
panów rady, do syna; miał starą swą twarz, jaką nosił po
pobojowiskach; teraz śmierć przyoblekła ją majestatem i powagą
swoją. Królewicz zadrżał – było to dlań zwiastunem chwili
ostatniej.

Lecz – król żył: piersi poruszały się prawie łagodnie,
dostrzegął lekkie twarzy drganie – starzec jeszcze oddychał.

Płomyk lampki, który, podniósłszy się, żywszym rzucił
blaskiem na rysy króla, dozwalał rozeznać lekkie ust ściągnięcie i
na powiekach wysiłek i drganie. Dźwignęły się one z ciężkością;
z głębin ich blado zaświeciły oczy.

Zatrzymały się długo na synu, wargi zatrzęsły się, jakby je
przewiew uśmiechu przebiegł bezsilny.

Każmirz jeszcze bardziej pochylił się do ojca.

Cud tego życia, przerywającego konanie, coraz był

widoczniejszym, głowa zwróciła się o swej sile ku ukochanemu dziecieniu.

Oddech piersi stał się głośniejszym, i głucho dobył się z nich głos.

– Kaźmirz?

– Jam jest! – odparł syn cicho.

– Jak za mgłą cię widzę – szepnął król wyraźniej nieco.

– Wody! Usta spieczone! – dodał, chcąc dobyć napróżno osłabłą z pod przykrycia rękę.

W tem Kaźmirz pośpieszył z kubkiem rzeźwiącego napoju, stojącym tuż przy łożu i ostrożnie nachylił go do ust ojca, wlewając w nie płyn po kropli.

Usta się rozwarły nieco, trochę życia wstąpiło w twarz, której oczy nabrały blasku.

Uśmiechnął się Łoktek.

– Noc? – zapytał cicho.

– Wieczór późny.

Król oczyma potoczył po komnacie, jakby się chciał przekonać, czy byli sami.

Chwilę trwało milczenie, pierś pracowała, aby się na głos zdobyć ostatni.

– Koronę – rzekł silniej. – Koronę niech ci niezwlekając włożą, niech namaszczą. Bóg z nią daje moc. A potrzeba jej, aby utrzymać wszystko w jednej dłoni. Polskę całą, Kujawy, Mazowsze, Pomorze... Pomorza niemcom nie ustąpić nigdy! Tamtędy droga w świat, jedyna wolna, w koło wrogi, bez niego

więzienie...

Mówił, odpoczywając chwilami, Kaźmirz słuchał pochylony. Nie była to rzecz do niego zwrócona, lecz jakby mimowolne snujących się myśli wyrazy, w pół do siebie, do Boga, do niego... Coś, jak marzenie, jak modlitwa...

– Mazowsze posłuszne, lenne być musi i twoje, pod prawem jednym – ciągnął dalej – Szlązko zgniłe, zaniemczone przepadło... przepadło!... Już mu nie odżyć, rdza niemiecka je zjadła...

Mówiąc to przymknął powieki, ale natychmiast podniosły się znowu i usta dalej szeptały, dla syna tylko dosłyszonym szmerem.

– Z siostrą, z Węgry musi być wieczne przymierze, za ręce trzymajcie się oboje...

Pod Rzymem stać wiernie, pod Awinionem, bo tam głowa nasza i siła. Papież mnie ratował, rozgrzeszył, dźwignął, wiele lat temu... Królestwo nasze pod Piotrową stolicą, hołd mu winniśmy...

Zamruczał coś niewyraźnie i poruszył się niespokojnie.

– Znajdziesz ludzi dobrej rady, Jaśko z Melsztyna, mąż prawy, Trepka wierny... Ziemianie, szczyty, rycerstwo dobre, dobre, ale nie oni jedni... Jest ubogi lud, jest biedny chłop... to ojczyce także nasi. Pamiętaj! Ja pomnę, gdym, z błogosławieństwem miłościwego lata powrócił z tułactwa sam, sam jeden, jak palec, nie miałem wówczas nikogo. Ziemianie nie chcieli mnie, zamiast rycerstwa szli ze mną chłopki z siekierami Polskę budować. Szli i bili się... a dopiero po nich przyszły szczyty, a na końcu barony

i comites...

Chłopkom wdzięcznym być!

Spojrzał na syna.

– O chłopkach pamiętaj!

Kaźmirz skłonił głowę.

– Tarczą im bądź i opieką – szeptał król cicho – sędzią im bądź sprawiedliwym, obrońcą, oni mnie obronili...

W tem głos coraz cichszy i słabszy szeptem niezrozumiałym utonął w piersi, i była znowu chwila milczenia.

Z bocznej izby na palcach podszedł ks. Waclaw, nadśluchując ostrożnie. Stał się zdziwiony, pochwyciwszy szeptanie, ręką sięgnął po kubek i przyłożył go do ust króla. Chory wnet poczuł obcego, zamilkł, ściągnąwszy wargi, ale napój połknął chciwie.

Ks. Waclaw zatrzymał się chwilę, zrozumiał to, że ojciec chciał sam na sam z synem pozostać, i usunął się powoli.

Wpół podniesione powieki śledziły ruch jego i nie otworzyły się, aż zniknął.

– Z Krzyżowcami niemieckimi – rzekł – nigdy pokoju... Przeciwko nim przymierze i pokój choć z pogany! (mówił niezrozumiale, głos drżał). O! nigdy zgody z niemi! Kruki czarne, wilki żarłoczne, wrogi wiekuiste...

Z Pomorza ich wygnać potrzeba precz, lub oni tę koronę prędeej, później żelaznym klinem rozsada. O! z niemi nigdy pokoju...

Z pogany się jednać lepiej, Litwie żoninej dać rękę, Ruś zagarnąć... Węgry zsojuszone, nasze, Czech się

grzywnami przejedna, daj mu ostatnią koszulę... choćby kielichy ze skarbców kościelnych, byle zjednać przeciw krzyżakom, wszystkich przeciw nim... Brandenburczyków głaskać, Szlązaków zagodzić... a Pomorze odbić, bo tchnąć nie będzie czem... Gościniec w świat nam zaprą i uduszą.

Spoczął nieco i dodał.

– Krwi się tam dużo poleje... będzie strumieniami ciekła... jak pod Płowcami...

Marszczki na czole króla wygładziły się, pogoda zwycięstwa opromieniła je na chwilę.

– Płowce! – powtórzył – Płowce! Drugie Płowce przyjdą nieprędko, ale ja widzę je, widzę. Stosy chorągwi ich po ziemi się tarzają i trupów stosy w posoce...

Każmirz klęczący już przy łożu, aby mógł słyszeć lepiej, przychylił się tuż ku ustom ojcowskim.

Od przepowiedni tej serce mu zadrgało żywiej. Łoktek smutnie się uśmiechał.

– Nie ty ich poskromisz... – dodał – nie, tobie nie dano! Ty gdzieindziej musisz szukać zwycięstwa.

– Ojciec mój – ozwał się Kaźmirz, gdy stary zamilkł nieco – ojciec mój, ja nie mam miecza twojego, ani dłoni twej...

– Da ci je Bóg, gdy będzie potrzeba – przemówił król – nie miecz wojuje, ani ludzka dłoń, ale wola i opieka Boża. Spełni się wszystko, jak on postanowił. Ty, ty kleić i spajać musisz, co rozerwały wieki, żelazną wiązać obręczą... miłością ożenić, prawem zjednać...

Ostatnie słowa wyrzekł gorąco i znużony nagle mówić poprzestał. Zdala ujrzał stojącą z głową zwieszoną królowę.

Wpatrzył się w jej postać smutną i wejrzeniem żegnali się długo.

Jadwiga stała chwilę, i milczeniem króla odprawiona, odeszła. On mowę odzyskiwał tylko dla syna.

– Bóg z tobą – rzekł – on dla mnie czynił cuda, on przezemnie słabego i małego stworzył znów królestwo, które do potęgi wielkiej urośnie...

Dziś ta stara szata królewska poszarpana na skrajach, zszywać ją trzeba, odbierać obcięte kawały, wojować, na straży stać i łatać, aż płaszcz z niej będzie pański... Bóg wielki tworzy z niczego i przez małych.

Po krótkim milczeniu szepnął cicho.

– Błogosławie!

Głos zamierać się zdawał, oczy się przymykały. W tem wpośród ciszy szelest dał się słyszeć, naprzód niewyraźny, stłumione mowy kilku ludzi, sprzeczkę jakąś u progów.

Łoktek oczy otworzył niespokojne, królewicz powstał. Niepojętem to było, by w ostatniej godzinie pokoju pana umierającego nie poszanowano.

Spór coraz dobitniej dawał się rozpoznać w pomieszanych głosach, na ostatek błagające, płacziwe doleciały wyrazy.

– Puśćcie mnie, puśćcie mnie, jam najstarszy jego sługa.

Poruszył się Łoktek niespokojnie i oczy jego synowi znak dały, aby drzwi nie zamykano proszącemu.

Nim Kaźmirz miał czas spełnić rozkazanie ojcowskie, zwolna odchyliły się podwoje i w nich dziwna ukazała się postać.

Był to starzec zgarbiony z długą za pas, zrzędłą brodą siwą i czaszką wyłysiałą, na której lśniącej skórze mnogie szramy widać było... Odziany suknią tercyarską dzieci Franciszka świętego, zgrzybiały człek nie mógł już iść o swej sile... Dwóch chłopaków ubogo odzianych, na których ramionach się opierał, wiodło go pod rękę. Twarz z oczyma zakrwawionymi pomarszczona, biała, miała wyraz niepokoju i zarazem radości... Ręce trzymał złożone, jakby szedł do ołtarza.

– Król mój! pan mój! – wołał głosem drżącym – puszczajcie mnie do niego... Niech pożegnaj pana mego!

Z ust Łoktka wyrwało się:

– Jarosz... Jarosz... pójdź tu! do mnie, stary.

Potoczył się powołany do łoża, cały drżąc z radości i dopadłszy do nóg króla, płacząc ścisnąć je począł.

– Król mój! pan mój! a mnie do ojca mego puszczają nie chcieli – wołał. – A myśmy razem dziećmi biegali, a jam z nim był i w bojach, i na tułactwie, i w Rzymie, i po jaskiniach, i na pobojowiskach, i na noclegach, i w niewoli, i wszędzie...

Królowi oczy drżały i pod osłoną poruszał rękami, których dobyć nie miał siły.

– Ty idziesz – mówił płaczkliwie Jarosz, klękawszy u łoża – weźmijże mnie z sobą, życie już cięży. Za grzechy pokutę sprawiłem, oczy zagasty, ręce obezwładniały... Weźmij mnie z sobą, jakeś brał dawniej...

Z drugiej komnaty wybiegli wszyscy i książdz Wacław pierwszy chciał starego odciągnąć sługę, lecz król dał znak, Jarosz pozostał u nóg jego.

– Kiedy Tobie, panie mój, Bóg zesłał wyzwolenia godzinę, może i mnie w miłosierdziu swem zabierzesz z sobą. Jabym się u stóp twych położył, jako legałem po lasach, gdyśmy sami byli, biedni, głodni, a ścigani.

Twarz królewska ożywiła się temi wspomnieniami, nie mówił, ale się na niej rysowało rozrzewnienie pogodne.

Jarosz ledwie odetchnąwszy ciągnął dalej.

– Król mój, pan mój! a mnie do niego puszczać nie chcieli. Jamże powinien tu być być w godzinę śmierci, bom w życiu wiernym był towarzyszem.

Łkanie mu przerywało.

– Nie zlekniemy się śmierci, widzieliśmy ją nieraz – mówił spokojniej. – Spocząć czas!

Kończył te słowa Jarosz, gdy król dobył głosu z piersi.

– Ojczy Heliaszu! – zawołał – Heliasz!

Mnich, który się spodziewał być powołanym, stał już blisko i przysunął się do łoża samego, krzyż podnosząc w rękę.

Każmirz usunął się nieco, Jarosz milczał i modlił się.

Wśród ciszy zabrzmiała uroczyista kapłana modlitwa. Była to ta ostatnia, którą żywi przeprowadzają duszę ku lepszym ulatującą światom.

Oddech umierającego stał się nagle żywszym i cięższym, w piersiach wyraźniej odzywało się chrząszczenie, pot występował

na czoło. Śmierć, która się oddalać zdawała, wracała po swoją ofiarę.

Z drugiej strony łoża stojący kanonik Wacław wejrzeniem i ruchami dawał poznać, iż stanowcza chwila nadeszła.

Głowa króla głębiej w pościel i niżej opadała na piersi. Wysięk jakiś poruszał całym ciałem, które okrycia podnosiło i ścigało na przemiany.

Królowa klęczała przy mężu, tuż obok starego Jarosza.

Głos mnicha coraz wyraźniej, coraz mocniej podnosząc się, aby stępałego już doszedł ucha, rozbrzmiewał po całej sali.

Oczekujący w sąsiednich komnatach, usłyszawszy go, zjawili się na progu gromadnie. Byli to ludzie poważni, w szatach ciemnych, smutnego a zadumanego oblicza. Oko ich na przemiany to szukało łoża, na którym spoczywał umierający, to pochylonej młodego królewicza głowy.

Niespokojni szeptali po cichu, Jarosz opadłszy ku ziemi, z głową na piersi zwieszoną, bezsilny zdawał się razem z królem swym dogorywać.

Kapłan w głos już, z zapalem odmawiał resztę modlitwy.

Poklękli wszyscy. Królowa twarz splekaną zanurzyła w pościeli i łkała z bólu.

Raz jeszcze podniosła się twarz starca, powieki odsłoniły oczy zbladłe, westchnął ciężko.

Westchnienie to odbiło się w piersi Jarosza, którego chłopcy utrzymać nie mogli, potoczył się na ziemię.

Lekki okrzyk stłumiony wyrwał się z ust królowej.

Zrana już na łożu w tej samej sali rozpostartem szeroko spoczywały Łoktka zwłoki, przyodziane do grobu, w hełmie na skroni z koroną, pasem objęte, z mieczem wiernym u boku, z berłem w dłoni, w spiczastem obówiu ze złoconemi ostrogami, z twarzą wypogodzoną, jaką mu dał zgon.

Do koła stali posiwiali jego towarzysze broni ostatni najmłodszy, a najstarszy z młodości czasów sługa leżał w kaplicy u Franciszkanów, w tercyarskiej sukni, czekając też pogrzebu. Rycerze spoglądali na wyciągniętego konaniem, drobnych zawsze rozmiarów, człowieczka tego, którego żelazny miecz, nieruchomy teraz, wyciosał królestwo wielkie.

Patrzyli i milczeli.

Podwórza zalegały ciche tłumy. Smutek był na twarzach wszystkich.

W przedsienu, na marcowego wiatru zimnym przewiewie, nie czując go, poopierani o słupy, nieruchomi, jak posągi, stali u wnijscia, Trepka Jerzy, który królewiczowi towarzyszył nieodstępnie w latach ostatnich; poważny Jaśko z Melsztyna, którego król synowi do rady naznaczył, Mikołaj Wierzynek rajca krakowski, starego i młodego pana ulubiony sługa; Kochan Rawa, powierny dworzaniec Kaźmirza, i Suchywilk, kapłan, siostrzeniec arcybiskupi.

Kochan Rawa, którego wszyscy znali, najbliższym królewicza, choć się powinien był radować z tego, iż pan, którego był ulubieńcem, miał włożyć koronę, posępny stał i smutny.

Mężczyzna to był młody, silny, przystojny, w kwiecie

wieku, Kaźmirza rówieśny, twarzy rozumnej, lecz namiętnego i zuchwałego wyrazu.

W bystrych oczach jego czytać było można, iż sprawcą mógł być lepszym, niż doradcą. Marszczyło mu się białe czoło od myśli ciężkich. Ręką ująwszy się w bok, a razem rękojeść miecza ściskając; drugą, to czoło pocierał, to wąsy targał i brodę.

Zbliżył się doń Trepka, wyglądający poważnie a rycersko.

– Nie pójdziecie zajrzeć – spytał – co się z młodym panem dzieje?

– Byłem tam – odparł krótko Kochan – spoczynku mu potrzeba. Sam pozostał... Królowa stara modli się, młoda krząta się niespokojna. Jam go zamknął od nich, bo siły pokrzepić trzeba. Teraz ich dużo mieć musi.

Zbliżył się do rozmawiających Wierzynek.

– Straciliśmy ojca! – jęknął smutnie.

Nie odpowiadali mu długo.

– Ktoby tego pana nie żałował – podchodząc począł spokojnie Suchywilk, którego twarz rozumna we wszystkich uszanowanie wzbudzała. – Strata to niepowetowana, aleć Bóg opatrzny dał nam godnego z lędźwi jego następcę. Ten podejmie i dokona, co tamten rozpoczął.

Nie trąpmy się zbytnio.

Czas było znużonemu spocząć i pójść po zasłużoną nagrodę. Któryż z królów tak długo i skutecznie dla tej korony pracował.

Starzy tylko pomną początki, my z ich ust o nich wiemy... Z niczego on stworzył koronę tę na kawałki rozbitą, a pomyślcie

z jakimi o nią walczył mocarzami! Z liczbą, z przewagą, ze złotem, ze złością, ze sprzymierzonymi, sam, nie mając nic nad łaskę pańską! Cuda przezeń czynił Bóg!

– Tak! – potwierdził głowę skłaniając Jaśko z Melsztyna – a tem trudniejsze zostawił dziecku dzieło na wespół dokonane, gdy pamięć trwa, ile uczynił, i nadzieja z nią, ile dopełnić syn musi.

Ani się dziwować, iż królewicz po ojcu tak boleje i pod brzemieniem się ugina. Wielkie ono.

– Każdy dzień ludzki ma troskę swą – odrzekł Suchywilk – lecz na ciężkie godziny z pomocą opatrność śpieszy.

Spoglądali po sobie smutni.

– My wszyscy też tak winniśmy młodemu służyć, jakeśmy starego miłowali.

Głosy się podniosły potwierdzające. Kochan Rawa obojętnie na nich spoglądał.

– Mnie pana mojego żal – rzekł popędliwie – srogi żal! Skończyły się dla nas dni swobody i wesela. Z kolei zaprzęczenie go do tego pługą, z którego jarzma ani się na godzinę wyzwolić! Tak! teraz ani dnia, ani nocy, ani wytchnienia mieć nie będzie... We snach nawet troska zajrzy w oczy. Biedny pan mój! Korona śliczna, ale nie samą skroń, ciśnie ona całego człowieka, a zrzucić jej ani na chwilę nie można.

Wojna? – musi być żołnierzem, pokój? – gospodarzem mu być trzeba; nocą stróżem... Hej! hej! dola nasza!

Królem się będzie zwał, a w rzeczy niewolnikiem zostanie...

Jaśko z Melsztyna potwierdzał, głowę pochylając.

– Tak jest – rzekł – ale królestwo, kapłaństwo, królestwo, ojcostwo! Przez króle mówi Bóg, i żeby się stać godnym tego, wielkim a czystym trzeba być.

Kochan Rawa węża pokręcił i skrzywił się.

– No – dodał – i człowieczeństwa się wyrzec.

Mnie mojego pana żal!

Spojrzeni nań drudzy, nieodpowiadając.

Kochan posunął się z wolna ku drzwiom, które wiodły do izb królewicza, inni pozostali w przedsieni.

– Mnie się zda – rzekł Suchywilk, spoglądając za odchodzącym – iż temu Rawie nie tyle królewicza żal, co samego siebie. Lęka się, aby z łask nie wypadł i przystęp mu się nie utrudnił. Nie byłoby to może wielką szkodą dla młodego pana, choć on służy mu wiernie, lecz człek gorący, popędliwy, pan młody... Oliwy do ognia dolewać nie jest bezpiecznie.

Jaśko z Melsztyna spojrzał na mówiącego i zamilkł. Inni ani przeczyli, ni potakiwali. Wierzynek, trochę na bok się usunąwszy, stał sam zadumany. Nadciągała starszyzna i dzwony pogrzebowe wszystkich kościołów w mieście jęczeć zaczęły.

Lud na Wawel płynął...

Księga pierwsza. Margareta

W dziedzińcu krakowskiego zamku, na ławie pod murem, odpoczywało dwóch młodych ludzi. Po wytwornym ich stroju, postawach śmiałych i butnych, głosach donośnych, a obejściu się zamaszystem, po twarzach napiętnowanych wyrazem dumy, jaką daje łaska pańska, łatwo się było domyśleć, że się tu czuli, jak w domu, i że do dworu królewskiego należeli, a nawet mogli być blizkiemi jego osoby.

Wiosenne słońce, na którym usiedli, w zakątku tym, od chłodnego powietrza przysłonięty, wcale przyjemnie dogrzewało.

Wiosna była młoda jeszcze i niebardzo ciepła.

Jeden z tych dworzan wyciągał się swobodnie na kamiennej ławicy i rękę pod głowę podłożywszy, podniósłszy nogi do góry, przypatrywał się lekkim białym obłoczkom przesuwającym się po niebiosach.

Niekiedy ręką swobodną podkrecał wąsa i poprawiał trefioną bródkę, która w brunatnych zwojach na piersi mu spadała.

Pięknej twarzy, wyrazistych rysów, brwi miał ruchliwe, usta dziwacznie się wykrzywiające, fizyognomię całą, jak woda od wiatru wzburzona, falującą i zmieniającą się ciągle.

Krew, która w nim grała, nie dawała mu uleżeć spokojnie, nogami tupał, wybuchał śmiechem, porywał się, kładł, przerzucał z boku na bok.

Drugi, który w końcu ławy, z nogą na nogę założoną, sparty o mur, odpoczywał; choć równie z pańska i butno wyglądał, spokojniejszej był natury – krzepki za to, silen, śmiały a dumny. Z góry spoglądał na towarzysza swego, jak na kapryśne dziecko, nie zdając się brać do serca jego wybryków i popisów dowcipu.

Jak jeden, tak drugi mieli na sobie, naówczas w całej Europie, po stolicach i dworach książęcych przyjętego kroju, ubiory. Obuwie śpiczaste z zadartymi do góry nosami, obcisłe spodeńki, pasy ozdobne i kurtki z rękawami przystającymi do ciała. Na wierzch zaś ich narzucone płaszczyki z rozciętymi długimi rękawy, które się dosyć malowniczo nadawały do stroju.

U pasów kaletki nabijane srebrem i w pięknych pochwach mieczyki małe dopełniały ubioru.

Leżący na ławie z większym staraniem i wytwornością był przyodziany, troskliwość o wdzięk, rodzaj zalotności właściwej tym, co się za pięknych mają, objawiały się w kosztownych tkaninach i ich przyozdobieniu. Włos, który mu w puklach na ramiona spadał, był starannie uczesany, a nawet namaszczone, aby nabrał blasku. Pochwy mieczyka, kaletka, nosy obuwia świeciły srebrnymi i pozłacanymi ozdobami.

Młodym mógł się on jeszcze nazywać, ale już młodzieniaszkiem nie był. Świeża i piękna twarz, miała na sobie ślady życia niebardzo szanowanego; trzydzieści lat już pewnie mu minęło, ale ruchami i powierzchownością chciał być młodszym.

Towarzysz jego, mniej więcej tego samego wieku, zdrów,

zbudowany jak do zbroi, szerokich ramion, ani tak pięknym był, ani się zbyt troszczył, jak się ma wydawać.

Zdrowiem kwitły mu policzki, śmiało patrzyły szare oczy, ale usta, miasto słodkiej zalotności, miały wyraz dumny człowieka, który pewien jest swej siły.

Suknie jego podobnego kroju, jak pierwszego, z pospolitszej tylko tkaniny, czyste były, leżały dobrze, nie świecąc niczem.

Od leżącego na ławie miał więcej powagi i męskiego wyrazu spokoju.

Na zamku dosyć było cicho, bo król wyciągnął na łowy z niewielkim orszakiem; w bliskości czeladź się nie kręciła, młodzi dworzanie mogli rozmawiać swobodnie

Nie miarkowali też głosu, i gdy leżący śmiał się, a siedzący obok odpowiadał mu głośno, rozlegało się po tej części podwórza ciasno dosyć murem opasanego.

Wytwornie strojnym był znany nam już ulubieniec króla, Kochan Rawa; drugi zwał się Dobiesławem (Dobkiem) Bończę. Oba równie dobrze byli u młodego pana położeni, Dobek nawet miał urząd doraźnego sędziego sporów między dworzany.

Nie byli oni doradcami króla w sprawach ważnych, bo tych Kaźmirz szukał gdzieindziej; ale, w chwilach spoczynku, przy biesiadzie i stole, którymi młody pan nie gardził, na łowach i wycieczkach, przy wesołych rozmowach, do drobnych zleceń posługiwał się nimi najchętniej. Kochan sam przekonany był, i drudzy z obejścia się z nim królewskiego wnosili, iż mu był najmilszym.

Król mu się nieraz zwierzał w sprawach, o których nie mawiał z innymi, zdając się być pewien jego serca i wierności dla siebie. Od dzieciństwa byli razem. Kochan młodych igraszek i zabaw nieodstępnym był towarzyszem; nieraz go za królewicza karano. Nikt nad niego lepiej nie odgadywał myśli króla i do jego upodobań nie umiał się zastosować. Znał go na wylot, jak powiadał, i był tem dumny. Dawało mu to zarozumiałość faworyta, bo nieraz poważni panowie rady jego zasięgal.

Dobiesław był także w łaskach, król na nim polegał, używał go chętnie, lecz z przenikliwością, która mu była właściwą, czuł, iż Bończa nie do wszystkiego by się nadał, a pochlebiać nie miał ani ochoty, ni umiejętności.

Poświęcenie obu równe było, miłość gorąca, charakterystyki wielce różne.

– Słysz, Dobek – gwarzył śmiejąc się i na ławie rzucając Kochan – ja sobie myślę, coby stary król nieboszczyk powiedział, gdyby wstał teraz z kamiennej trumny swej, i popatrzył, jak się tu u nas przez te lat osiem od śmierci jego zmieniło wszystko...

Zamku, dworu ani poznać! no, i po ziemiach inaczej. Od wojny się jakoś opędzamy, ludzie przecie mogą sobie odetchnąć! Z krzyżakami, co nam pokoju nie dawali, rozejm za rozejmem. W końcu my ich, nie dobywając miecza, zmusimy siedzieć cicho, aż póki...

Odchrząknął znacząco Kochan i zamilkł.

Dobek nań popatrzył z góry.

– Eh! eh – rzekł trochę szydersko. – Co ty, albo ja wiedzieć

możemy, jak król sobie radę daje z krzyżakami! To nie nasza sprawa! Kasztelan krakowski, ks. Suchywilk, wojewoda, biskup, ci może coś znają; król nasz ze swoich myśli przed ladakim nie rad się spowiadać!

– Jakbym ja potrzebował, ażeby mi mówiono to, czego ja się sam domyśleć mogę! – rozśmiał się Kochan. – Albo oczów i rozumu nie mam?

Dobek niedowierzająco ramionami poruszył.

– Daj pokój – powtórzył – nie nasze to sprawy.

W tym z tobą zgoda – ciągnął dalej – że się u nas wiele zmieniło. Za nieboszczyka starego z prosta było wszystko, młody pan lubi, żeby mu się świeciło i błyszczało, a niegorzej wyglądało w Krakowie, jak w Budzie i w Pradze...

– Boć tak u nas powinno być – zawołał Kochan z przejęciem wielkiem. – Nasz pan choćby obok cesarza stanął, nie powstydzi się i nie da zaćmić nikomu. Jemu mało królewskiej korony! Takiego drugiego na całym nie ma świecie.

Czego mu brak? Uroda, tylko patrzeć nań, rozum, bystre oko, serce złote, postawa rycerska, wszystko u niego jest.

– Tylko szczęścia nie ma! – zamruczał Dobek chmurząc się.

Brwi się ściągnęły Kochanowi, nie odpowiedział nic.

– A no – odezwał się po dumaniu przedłużonem – młody jest! Jeszcze wszystko co zechce może mieć. Co dla mężczyzny lat trzy dziesiątki! Przed nim świat i życie... Chybaby Bóg nie laskaw, wiele i wielkich spraw dokaże...

Ja go znam, w nim, jak w kopalni, im głębiej zajrzeć, coraz

skarby większe...

– Daj mu Boże wszystko dobre! – westchnął Bończa – któżby jemu źle życzył? jemu, co najbiedniejszego człeka, żebraka, chłopca, jak dziecko do siebie przygarnia... Dla każdego ma dobre słowo i serce dobre...

Milczeli znowu czas jakiś. Dobek ręce duże i silne wyciągał, jakby mu próżnowanie dokuczyło. Kochan pokręciwszy się na twardej ławie, zerwał się i usiadł, starając umieścić wygodniej. Spojrzył na Dobka.

– Jego na gwałt ożenić trzeba! – szepnął.

– Mnie się zda, że on o tem i sam myśli – odparł Bończa.

– O ożenieniu, jak o ożenieniu – przerwał Kochan – boć niewiast po świecie grzecznych i bez tego dosyć, ale jemu trzeba syna... On chce koniecznie potomka męzkiego mieć... To jego jedyna troska, aby korona nie poszła po kądzieli, albo na Mazury, lub na jakie cudze ręce... Syna, syna mu trzeba, a tu...

Kochan się zadumał.

– Wiecie, co ta czarownica, babsko mu przepowiadało? – dodał, zwracając się do Dobka.

Dobek potrząsał głową.

– Nie wiem nic – rzekł krótko.

– Toście chyba nie ciekawi – rzekł Kochan – wszyscy przecie o tem wiedzą. Ja, co się mojego pana tyczy, muszę wiedzieć wszystko. Co jego boli, mnie boli.

O! żeby nie ta Klara – począł dalej pomrukując – żeby nie ta Klara, której cień za nim chodzi, byłby on szczęśliwszy! I ta

przepowiednia głupia nie byłaby tak do niego przystała...

Nieraz o niej przez sen gada, a uchowaj Boże mu który z tych Węgrów nawinie się przed oczy, jakby go podciął.

Dobek słuchał obojętnie, patrząc w górę na ulatującą w powietrze gołębi parę.

– Ja z tej całej waszej węgierskiej historii – rzekł – ledwie coś, piąte przez dziesiąte wiem, bom naówczas na dworze nie był. Latałem jeszcze po ojcowskich lasach.

Ludzie o tem różnie prawią. Wyście pono byli z nim?

– A jakże? gdzieżem ja z nim nie był! W Pyzdrach nawet mało mnie krzyżacy nie pochwycili – mówił Kochan. Byłem, gdy się żenił z poganką, jeździłem na te Węgry, no, wszędzie! Mówię wam, od tego pobytu w Wyszehrodzie stał się jakby innym człowiekiem. Wprzódki wesół zawsze, żyć i pobiesiadować lubił, pośmiać się był rad... Nie od tego on i teraz, ale rzadko i tylko, gdy się zapomni. Postarzał nagle, posmutniał... Ten tylko, co jak ja, widuje go, gdy on sam na sam się zostanie, wie, jak cierpieć musi.

Zdaje się, nie brak mu nic, a na nim ciąży coś, jak kamieniem.

– Troski, bo ma dużo – odparł Bończa. – Z czasem, choćby mu tam coś dolegało... zapomni.

– Zapewne – rzekł Kochan – ale na to potrzeba, aby jakaś lepsza dola zatarła wspomnienie tego smutku, a my sobie szczęścia napytać nie możemy.

Teraz się niby coś błyszczy, mnie się i temu wierzyć nie chce.

Dobek słuchał niebardzo chętnie, jakby się nie rad był

rozgadywać w tym przedmiocie. Kochan przeciwnie, że się tych spraw lada komu zwierzyć nie mógł, rad był się przyjacielowi spowiadać. Ciężyły mu na piersiach.

– Od początku się jemu w domowych sprawach nie wiodło – ciągnął dalej. – Jam się na to wszystko patrzył. Ożenili go z tą litwinką nie dla niego, ino dla tego, że staremu królowi trzeba się było z Litwą związać, a Litwie z nim przeciwko krzyżakom.

Tyleśmy zyskali, że nam w posagu polskich jeńców przyniosła, co ich poosadzano na pustkach po tatarach...

Soroków też soboli i kun nie wiem ile na kozuchy nam przyszło.

Na nieboszczkę panią nic nie powiem, piękna była, dobra była, ptaszę nie kobieta. Wsadzono ją do klatki, wywieziono z jej lasów, płoszyła się coraz jak ptaszę.

– Królewicza gdzieindziej, ją kędyndziej ciągnęło. Jemu się chciało na szeroki świat, na takie dwory, jak francuzki, włoski, węgierski, a Hannie do lasu zawsze! Prostaczkowata sobie była, jakby chłopianka, śmiała się na głos, nie zważając na ludzi, mówiła, co jej przyszło do głowy, nie pilnując dworskiego obyczaju.

Księża ręce łamali, bo się ledwie przeżegnać nauczyła. Król by ją był kochał może, a no do jej humoru zdziczeć mu trzeba było. Więc nie mógł... Żeby mu była choć syna dała, a tu córka.

Dobek przerwał od niechcenia.

– Masz mówić, no to powiedz mi lepiej całą tą nieszczęsną węgierską sprawę. Dobrze jej nie znam.

– Starą biedę i smutek przypominać – odezwał się pomyślawszy Kochan – to jak zgojoną ranę rozdrapać. A no, kiedy się zmówiło o tem, powiem. Byłem ci tam z nim.

Jechaliśmy naówczas z rozkazu starego pana do Wyszehradu do Karoberta i naszej królowej Elżbiety, żony jego. Wyście u tych francuzów nie bywali! Takiego dworu, jak u tych państwa na świecie widzieć trudno. Po naszym, jak raj się jakiś wydawał. Przepych wielki, a wesołość, a śpiewy, a muzyki, i wszystko strojne, pańskie, świetne, a obyczajaje osobliwe, francuzkie i włoskie.

Z całego świata kuglarze, śpiewaki, rzemieślniki, mądrale, suknie od złotogłówów, opony od jedwabiów.

W święta, gdy występowali królestwo, mówiono, że i na cesarskim dworze piękniej być nie mogło. Wszystkimi językami słyszałeś tam mówiących, począwszy od tej mowy madziarskiej, którejem się ja nigdy ani słowa nauczyć nie mógł, aż do francuzkiej, włoskiej, niemieckiej i łacińskiej.

A że królowa, siostra naszego pana, bardzo zabawy, skoki, muzykę i turnieje lubiła i do dziś dnia lubi, było na co patrzeć i czem się cieszyć dzień w dzień.

Dopieroż na przyjęcie brata, którego Elżbieta kocha bardzo, gdy poczęła się zмагаć, nie było chwili spoczynku. Łowy, turnieje, bankiety po bankietach następowały, skoki, śpiewy, igraszki różne. Kobiety na dworze węgierki, włoszki aż oczy rwały. Powiedziałbym piękne, jak anioły, ale chyba do nich nie były podobne. Kraśne dziewczęta i niewiasty, jakich u nas nie

widać, ale gdy która spojrzała na człowieka, jakby ogniem rzucił. Krew zdawała się kipieć w tych pogankach... strach! aż mrowie przechodziło!

Wziął z nas który do tańca, to nim miotła jak piórem...

Ucztowaliśmy i biesiadowaliśmy tydzień z górą, jak w raj. Między dziewczętami, co przy królowej były, najpiękniejsza pewnie zwała się Klara, a była córką urzędnika Karobertowego, imieniem Felicyana Amadeja. Powiadano o nim, że z małego był wyrósł, służąc pierw na dworze Maćka z Tręczyna Siedmiogrodzkiego, od którego do Karoberta przystał.

Dziewka była godną choć królową się zwać: twarz jak mleko biała, oczy czarne, włos kruczy, postać osobliwa, a i duma, którą, jak koronę, na głowie nosiła, piękności jej dodawała.

Za to ojciec jak zbój i drab straszno wyglądał. Olbrzymiego rostu, niezgrabny, szatańskie miał oczy koso patrzące i głos chrapliwy, gdy zagadał, mrozem przejmował. Coś w nim było dzikiego, jakby tylko co z lasu wyszedł. Dumą też obrażał, bo choć chłopisko proste było, królowi ledwie głową skłaniał.

Z tym pod wieczór na gościńcu się spotykać najmężniejszemu nie byłoby wygodnie. Ale król tego niedźwiedzia lubił, bo mu pięścią silną ład na dworze utrzymywał.

Jam zaraz postrzegł w tańcu, że ta Klara naszemu królewiczowi w oko wpadła. Jednego wieczora, gdyśmy do naszych izb szli na spoczynek, zagadnąłem o nią, roześmiał się tylko.

Na drugi dzień sam mnie o nią zaczepił i rzekł.

– Królewski kąsek!

Mnie ten drab ojciec z kosemi oczami stał na pamięci, odpowiedziałem tylko. – Niechno się miłość wasza temu staremu przypatrzy, od tej czarownicy ochota odejdzie.

Pan to w śmiech obrócił.

Królowa Elżbieta, że rada była brata jak najlepiej przyjąć i ugościć, spostrzegłszy, iż na Klarę oczyma rzucał, poczęła go nią prześladować.

Nie zapierał się, iż mu w oko wpadła.

– Piękniejszej w życiu nie widziałem – rzekł.

Więc mu potem Klarę i do tańca i przy biesiadzie ciągle do boku dawano, aby sobie nią choć oczy napasł.

Mówił mi o niej ciągle, ale narzekał.

– Jak z kamienia jest – powiadał – im ja się więcej staram w łaski wkupić, tem sroższa. Podarku żadnego przyjmować nie chce. Uśmiechu od niej, ni dobrego słowa nie dopytać; a odezwie się zmuszona, to jak żelazem w piersi żgnie...

W kilka dni jakoś królewicz nam zachorował.

Ksiądz włoch, doktor królewski, kazał mu dzień, albo dwa w łóżku spoczywać. Królowa o brata troskliwa, choć nie chciał, zmusiła go leżeć. A, żeby mu się nie nudziło, ciągle przy nim siadywała sama. Wieczorami zaś panny swoje przyprowadzała z sobą, każąc im na cytrach grać i pieśni śpiewać.

Ile razy do królewicza szła, Klara z nią razem iść musiała. Nas z przedsiени wyprawiano, jako niepotrzebnych, żebyśmy się z dworem królewskim zabawiali.

Trzeciego dnia tej choroby, gdym późno już do królewicza powracał i miałem do drzwi się zbliżyć, nagle się one otwały i Klara z rozrzuconemi włosami, blada, zapłakana, jak oszalała wypadła z izby królewicza, przemknęła się mimo mnie, nie widząc i znikła.

Strach mnie jakiś ogarnął, ale sądząc, że królowa u brata jest, czekałem w progu.

Gdy tak siedzę, słyszę, woła mnie pan. Wchodzę i zastaję go samego, na łożku, ręce pod głową, niespokojny jakiś, namarszczony, gniewny.

– Jutro mi się sposobić do drogi! – zawołał zobaczywszy mnie.

Chciałem rozmowę począć, aby się czegoś dowiedzieć, milczeć mi kazał.

Nazajutrz, choć mieliśmy bawić dłużej, mimo prośb króla i królowej, Kaźmirz, jakby ztąd uciekał, co żywiej pędził w drogę... Znając go, nie próbowałem już się więcej od niego dowiedzieć. Milczący był, zasepiony, niecierpliwy.

Z Wyszehradu wyjechaliśmy z pośpiechem wielkim, jakby nam do Krakowa bardzo pilno było, tymczasem dalej podróż szła opieszale, małemi dniami. Raz w raz kazał stawać na spoczynek.

Było to w Maju, jak teraz, wiosna śliczna; droga by się pewnie nie przykrzyła, gdyby nasz pan nie włókł się nasepiony i bezmówny.

Jużeśmy do granicy naszej się zbliżali i na nocleg mieli, jednego wieczora rozkładać, gdy patrząc, znany mi dobrze dworzanin Elżbiety, Janusz młody, we trzy konie, jak szalony

nas napędza. Nim usta otworzył, jużem wiedział, że coś lichego wiozł za nadrą. Królewicz, zobaczywszy go, wybiegł, zbladł i zatrząsł się cały.

Poszedł z nim Janusz do namiotu, a my tylko krzyki, głosy i wołania różne słyszeliśmy.

Czuliśmy, że się coś stać musiało, lecz co z sobą przywiózł, nie sposób się było domyśleć. Łamaliśmy głowy na próżno. Służba pytana milczała.

Dopiero, gdy Janusz wyszedł, dowiedzieliśmy się o wszystkim. Wkrótce nieszczęśliwa ta przygoda nie miała być tajemnicą dla nikogo.

Po dziś dzień nie wiem, czy królewicz, pan mój, któremu siostra ową Klarę Felicyonównę zostawiła aby pilnowała chorego, winien był co czy nie.

To pewna, że dziewczyna poszła się jakoby skarżyć ojcu na królowę i na niego, a stary wpadł we wściekłość wielką.

Drudzy powiadali, iż staremu zbójowi tego tylko było potrzeba, aby znalazł pozór do pomsty nad królem i królową, bo miał od dawna przeciw nim spiskować i sam pono wymordowawszy całą rodzinę królewską, chciał nad Madziarami panować.

Więc gdy we wtorek po przewodach, po wyjeździe naszym, król Karobert z królową i synaczkami Ludwikiem i Andrzejem w małej gromadce, prawie bez dworu, obiadowali w domu swym pod Wyszehradem spokojnie, nie obawiając się ani domyślając niczego, nagle stary ów zbój ze swemi kilkunastu przyjaciół

zbrojnemi wpadł do sali. Wprost z mieczykiem rzucił się na króla, którego gdy królowa bronić chciała i chwyciła za miecz prawą ręką, cztery palce jej odcięte padły.

Król też rękę miał skaleczoną.

Czeladź przerażona nieprędko się wzięła do obrony pana swego, dopiero, gdy ów wściekły z kolei na młodych królewiczów się rzucił, ich chcąc mordować.

Jan z Potoken, młody węgrzyn, rycerskiego rodu, dobywszy miecza między szyję i łopatkę zbójcę trafił tak, że padł zaraz w miejscu omdlały.

Dopieroż na wrzawę zbiegli się dworscy, służba, pochwytno winowajców – i okrutną, straszliwą domierzono na nich karę.

Szarpano ich żywcem końmi na sztuki... Zginął tak ojciec, córka Zeba z mężem Kopy, a Klarę poobcinaną obwożono po całym królestwie, aż i ją ścięto... Po wszystkich miastach porosyła ćwierci zbrodniarzy – głowę Felicjana w Budzie nad bramą przybito. Litości nie było dla nikogo, – ale też i królowa Elżbieta, którą teraz **kikutą** zwa, to jest bezręką, od tej pory z prawej ręki rękawiczki nie zrzuca, bo jej mało co dłoni zostało.

Opowiadający żywo Kochan odetchnął trochę.

– Nigdy ja pana mojego – dodał po przestanku – nie widział takim, jakim był w pierwszych dniach po przybyciu Janacza. Chciał naprzód zaraz nazad jechać do Wyszehradu, do siostry – ledwieśmy odprosili – Po tem zachorzał i leżeliśmy dni kilka na samej granicy, nie mogąc dalej do Krakowa. Nie wiedział co czynić i tak rozpaczał, choć nie sądzę, aby winnym się czuł, ale

mu siostry i straconej tak okrutnie Klary srogi żal było.

Jużeśmy nareszcie do Krakowa jechać mieli, gdy nad ranem, patrzymy – kupa Węgrów nadbiega. Myśleliśmy, że pogoń jaka, że zemsta. W mgnieniu oka do obronyśmy się uszykowali, aż białymi chusty poczęli nam dawać znaki, wołając, że na miłosierdzie Boże, z królewiczem chcą mówić. Poznaliśmy w nich wtedy brata jednego Klary i powinowatych kilku nieszczęśliwej dziewczki, którzy popadawszy na kolana przed panem, o bezpieczny przytułek w Polsce prosili go. Poprowadziliśmy ich z sobą, i siedzą do tego czasu u nas spokojnie, tyle tylko, że się im królowi na oczy pokazywać nie wolno.

Dobek głową potrząsał.

– Wiem ich – rzekł – oni się Amadejami zowią, a na szczycie mają orła poobcinanego.

– A tak – odparł Kochan – królewicz im u ojca jeszcze ziemię wyprosił znaczną. Włos im tu nie spadł z głowy, tylko żeby się nie okazywali na dworze przykazanie mają, bo na nich patrzeć król nie może, zaraz mu te krwawe dzieje na pamięć przychodzą...

– Chcą li czego, muszą przez Kasztelana prosić, a co zażądają, otrzymują.

Bończa wysłuchawszy opowiadania cierpliwie, rzekł tylko.

– Krwawe dzieje! bodaj o nich nie pamiętać.

– Posłuchajcież końca o babie – dodał Kochan. – Temu już rok jedenasty, jak się to stało com mówił. W kilka lat jakoś potem, przypadło nam znów jechać na Węgry. Pamięć się tam

o Amadejach trochę zatarła. Jechaliśmy do Budy, gdzie znowu przyjęcie było wielkie, ale królewicz pośród tych wesołości chodził jak struty.

Królowa Kikuta darmo go już zabawić chciała, bo na niej przestrachu i smutku nie pozostało ni śladu. Wesoła była jak przedtem i dwór jej znowu śpiewał a brzdąkał. Ucztowaliśmy na zamku dni z dziesiątek, nim powracać nam przyszło.

Drugiego dnia podróży trafiło się, że na nocleg do żadnej osady nie mogliśmy nadażyć... Noc nas zaskoczyła, musieliśmy w lesie rozbić podrózne namioty.

Zapalono ognie, zaczęli ludzie mięso piec i kaszę warzyć, gdy babsko jakieś stare do obozu się nam przyplątało. Ludzie chcieli ją biczyskami odpędzić, aż królewicz, z namiotu wyszedłszy, jak to on zawsze dla najbiedniejszych litośnym jest bez miary, zawołał zaraz, aby babie żadna się krzywda nie działa, jałmużną kazał obdarzyć i nakarmić.

Baba już od ludzi dowiedziała się, cośmy byli za jedni, oczyma jakimiś strasznymi poczęła się w królewicza wpatrywać, drżąc cała. Naostatek puściła się wprost do niego, aż nas strach jakiegoś uroku ogarnął. On stał śmiało.

Językiem mieszanym poczęła coś mało zrozumiałego pleść, to na niebo, to na ziemię ukazując, to w piersi się bijąc, to płacząc. – Potem ręki królewicza się domagała dla wróżby.

Stałem wówczas przy nim, i mówię:

– Nie dawajcie, na miły Bóg! niech się ona was nie dotyka... Uparł się i rękę wyciągnął.

Stała baba nad nią, brwi namarszczywszy, trzęsła się, mruzczała, głową rzucała, pokrzykiwała... na ostatek pleść zaczęła...

– Co? co? zapytał Dobek.

– Koszałki-opałki, jak w gorączce, sama pewnie nie wiedziała co plotła – mówił Rawa – Ci co rozumieli, powiadają, że mu prorokowała, iż miał panować królestwu wielkiemu i mocnemu, na równi stać z cesarzami i największemi mocarzami świata, a potem nachmurzywszy się dodała. – Co potem! krew nad tobą! Amadeje! Amadeje... Ludzie przez cię szczęśliwemi będą, ziemie twoje zakwitną, nieprzyjacioły położą się pod nogi, zawładniesz ich krajami, a sam nigdy nie zaznasz szczęścia w życiu... tego, czego najgoręcej pragniesz, Bóg ci nie da! Amadeje!..

Królewicz zrozumiałszy nieco, spytał niespokojnie.

– Czegóż ja to pragnąć mam? – a ona rzekła:

– Mężkiego potomka z żadnej żony ci Bóg nie da i na tobie ród twój zginie, a korona pójdzie na obcą głowę.

Chcieliśmy babę przegnać, aby więcej mówić nie śmiała, lecz dokończywszy ledwie, chwyciła się za włosy i z krzykiem – Amadeje – pobiegła w las... Odszedłszy sporo, palcem się w piersi poczęła stukać, ukazując na siebie i powtarzając jeszcze – Amadeje!

Ale królewicz już był wrócił do namiotu, i nie słyszał ani widział. Węgrowie, co tam szli, powiadali nam, że z rodu tych Amadejów musiała być.

Myśleliśmy, że on o tem łatwo zapomni, a no, proroctwo to było jak trunek, którego mocy człowiek nie poczuje gdy go pije, aż później gdy go rozmarzy. Od tej pory król je ciągle przypomina.

– Mało co głupie baby wróżą – odezwał się Dobek. – Na psa urok! Zkąd jedna taka żebraczka może wiedzieć, co Bóg komu przeznacza.

– A! a! mów zdrów – odparł Rawa – baba, żebraczka, włóczęga, kto wie zkąd ona to bierze, jaką ma siłę, i kto ją jej daje, pan Bóg czy szatan, a przecie to całemu swiatu wiadomo, że więdźmy przyszłość więdźą.

– Ty temu dajesz wiarę? – rozśmiał się Bończa – ja, nie... Za co by go pan Bóg karać miał, kiedy winien nie był?

Kochan zmilczał.

– Niech no się on ożeni – dodał spoczawszy Dobek – niewiastę sobie dobrawszy, jak słyhać, i do serca i do obyczaju swego, przyjdą synowie i babie kłam zada.

– Tak – szepnął Kochan – ta, którą mu Czech swata, jemu bardzo do smaku, a – co potem, powiadają, że ona się go lęka i nie chce.

Dobek się obruszył.

– Jakby tak było, niech innej poszuka, jest ich dosyć. Byle mu niemki nie swatali znowu. Niemców jako ta zgaga Hans von Pforten, zageściło się u nas na dworze i po miastach, do zbytku. Jakbyśmy jeszcze królowę dostali niemiecką, a z nią napłynęło dworzan i czeladzi!.. choć uciekać ztąd na kraj swiata.

Rozprawiając tak niepostrzeżli, że, gdy Dobek ostatnich słów domawiał, zwolna i podsłuchując zbliżył się ku nim mężczyzna nieco starszy od nich obu, gruby i duży, okrągły, włosów rudawych, twarzy piegowatej, pogardę i lekceważenie dumne wyrażającej, jak gdyby czuł się daleko zacniejszym i wyższym nad tych, na których dziko spoglądał.

Drgnął, posłyszawszy przez Dobka wymówione nazwisko – Hans von Pforten. On to był sam, Niemiec, w usługach króla od lat kilku zostający, do urządzania gonitw i turniejów obyczajem zachodnim używany. Zaufany wielce w swoje u króla fawory, opryskliwy, dumny, szczególnie z Dobkiem Bończą, z powodu poswarków z dworzany i jego sądów, był w ciągłych zatargach.

Usłyszawszy, co o nim i o Niemcach powiedział, Hans prychnął głośno i rzucił – Djabłem!

Ocknął się Dobek, spojrzawszy nań uśmiechając się z podełba i zawołał.

– Patrzajcie no tego Szwaba, jak mu mowa moja nie w smak! a ja ci, ty Niemcze przekłety, powtórzę raz jeszcze, żebyście sobie wszyscy szli z tą do tego diabła, któregoś wspomniał, albo do twej ziemi nazad. Wy nam tu na naszych śmieciach śmierdzicie...

Niemiec warcząc, za rękę miecza pochwycił.

– Milcz, ty! jakiś! – krzyknął – milcz! Niemcy wam śmierdzą! a od nich, żaki musicie się uczyć wszystkiego! Cobyście bez nas mieli? co byście mieli? Skórami byście się jeszcze odziewali!

Nie dając mu dokończyć, Dobek się porwał, ale z

majestatyczną powagą, bez widocznego wybuchu gniewu.

– Na naszej ziemi się spaszę, nasz chleb jesz... milcz ty, przybłedo! – krzyknął rozkazująco.

– Nie zamkniesz mi gęby – zawołał Hans, burząc się – nie! nie! I nagle krok naprzód się posuwając, miecz obnażył.

Dobek stał, nie pomyślawszy nawet, dobyć żelaza, wargi tylko zakąsił.

Hans się pienił z gniewu.

– Pójdźże precz ztąd, ty szwabie, pókiś cały! – odezwał się, usiłując spokój utrzymać – ruszaj! bo źle będzie!

– Z tobą źle będzie! – krzyknął Hans podnosząc miecz, jakby bezbronnego przez łeb ciąć zamierzał.

Lecz Dobek Bończa w mgnieniu oka przypadł do niego, rękę, w której miecz trzymał, pochwycił dłonią silną jak w obręcz żelazną, drugą, chwiejący się miecz szarpnawszy nim, wyrwał, i natychmiast nim okładać go począł.

Nim się ciężkie niemczysko opatrzyło, leżał już na ziemi, a na szerokie plecy jedno po drugich spadały razy, aż żelazo rozprysło się na kawałki.

Przyduszony kolanem Hans na próżno się wyrwać usiłował.

– *Fried – herr! Fried – herr!* – jęczał przyciśnięty do ziemi sądząc, że ostatnia nadeszła godzina, bo Dobek, dawno doń ząb mający, nielitościwie go okładał.

Na wrzawę tę czeladź się zbiegać zaczęła ze wszech kątów – dworzanie, służba, kobiety, powtarzając ze śmiechem niezrozumiałe wyrazy:

– Frydry! Fredro!!

Dobka Frydrą przeżywa! co to znaczy?..

Szcęściem dla pokonanego, Dobek nie był krwi chciwy, zbiwszy dobrze, puścił ofiarę, nie myśląc się więcej znęcać nad nią.

Podnosił się śmiejąc Bończa, gdy oczy zwróciwszy na tłum ludzi, który umilkł nagle, postrzegł z przerażeniem o trzy kroki stojącego króla. Z łowów powracający Kaźmirz, wprost z konia przybył na krzyk i groźno, ale z małą ironją na ustach spoglądał na Dobka, który stał jak winowajca...

Pięknym był Kaźmirz w tej dobie swojego życia. Słusznego wzrostu, dorodnych kształtów, w pełni sił i zdrowia, z twarzą rysów szlachetnych, której jakiś obłoczek smutku dodawał uroku – miał w sobie majestat pański bez dumy, osłodzony dobrocią wielką.

Ubrany jak na łowy, z trąbką przez ramię przewieszoną, w czapeczce axamitnej na głowie, w sukni opiętej i płaszczyku, z mieczykiem u pasa, stał, wzięwszy się w boki, naprzemiany mierząc oczyma to Bończę, to niemca, który się z ziemi jęcząc dźwigał opylony i zobaczywszy króla, zwrócił się zaraz ze skargą ku niemu...

– Kto rozpoczął? o co poszło? zapytał Kaźmirz, zwracając się do Kochana.

– Niemiec się pierwszy do miecza porwał – odparł Rawa.

– Widzisz Hans – zawołał król – masz za swoje!

I pogroził Bończy.

– Ty byś zaraz ludzi zabijał! – rzekł i odwrócił się szybko.

Skończyło się na tém, ale tegoż wieczora, król, śmiejąc się, Bończę począł przezywać **Fredrą**, i przydomek ten tak przyłgnał do niego, że i na rodzinę przeszedł.

Kochan jeden domyślał się, dla czego król tak prędko z łowów powrócił. Oczekiwano wiadomości od króla Jana z Pragi i syna jego margrafa Karola.

Każmirz, tym wszechmogącym groszem, którym z królem Janem, niespokojnego ducha, rycerskiej gorączki mężem, ciągle wyprawy jakieś znaczącym, wszystko można było uczynić, przejednał się i pogodził. Nieprzyjaciele niedawno, byli teraz sprzymierzeńcami.

Został Janowi czeskiemu na jego pieczęci na pamiątkę, w tarczy małej orzeł polski, obok lwów czeskich na chorągwi, i luxemburskiego na okryciu... do korony Kaźmirzowej nie rościł już praw żadnych. Słazko mu ustąpiono, a kilkadziesiąt tysięcy kop groszy dał Kaźmirz odczepnego.

Przyjaźń Jana nie była dlań za drogo okupioną, bo mu za tarczę przeciw krzyżakom służyła.

Szło teraz o bliższe jeszcze połączenie się z Luksemburczykami, których rycerskiego ducha król po części oceniał. Piękna Margareta, córka Jana, siostra Karola, owdowiała była po bawarczyku. Uczyniono Kaźmirzowi

małżeństwa nadzieję, chwycił się jej z tym większym zapalem, że dwudziestosiedmioletnia wdowa, słynęła z wdzięków, z rozumu, a mogła mu dać tego upragnionego potomka, którego Kaźmirz tak pożądał. Synaczek jej nie dawno był zmarł, wkrótce po mężu.

Margareta, którą do Pragi sprowadzić miano, była mu przyrzeczoną. Starali się smutną wdowę do małżeństwa tego nakłonić ojciec i brat.

Chodziły wieści, że była mu przeciwną, że lękała się kraju, który na rozterki i napaści tatarów wystawiony, nie słynął ani bogactwy, ani przepychem, do jakiego ona była nawykłą.

Kaźmirz oczekiwał wiadomości, co godzina. Nie chciał się z zamku oddalać nawet, aby gońca z Pragi nie stracić, nie dać mu czekać, nie zwlec ani chwili.

Wyglądano go niespokojnie. Tymczasem w moc ojcowskiej poręki, Kaźmirz czynił wszelkie przygotowania do wesela. Nie mówiono o nim jeszcze głośno, aby w razie zwłoki nie mieć wstydu, lecz niepokój był na Wawelu, bo się tu wszystko do wielkiej i wystawnej gotowało podróży.

Król z łowów powróciwszy, natychmiast do siebie Podskarbiego kazał przywołać.

Znoszono do komnaty pańskiej kosztowności, z których miał wybór uczynić. Złoczone puchary, srebrne misy, dzbany, rogi kute złotem, pasy perłami szyte, naszyjniki, naręczniki, kolce, pierścienie z oczyma błyszczącymi, leżały porozrzucane po stołach. Kilka opon szkarłatnych, perłami bogato szytych, rozpostarto w pół na ławie, pół na ziemi.

W pośrodku tych bogactw, na które stary Zyndram, Podskarbi, patrzył z żalnością jakąś, czując, że one z Pragi pewnie nie powrócą, Kaźmirz stał roztargniony, nasłuchując i za najmniejszym szelestem ku oknom podchodząc.

Nie przybywał ów poseł z Pragi. Chociaż o zamierzonym małżeństwie króla nie wolno było głosić zawczasu, wiedzieli o niem wszyscy. Zdania dworu były podzielone, jedni dla króla, chociaż wdowca, wdowy sobie nie życzyli, drudzy przewidywali, że u grosza chciwego Jana drogo je przyjdzie okupić.

Kaźmirz pragnął połączyć się z tym domem, a Margaretę odmalowano mu tak, że zawczasu w niej był rozmiłowany. Sądząc z ojca i brata, z tego dworu, który stał ogładą i obyczajami na równi z francuzkim, Kaźmirz widział to w Margarecie, czego mu właśnie brakło w Aldonie. Marzył o niej jako o niewieście, która go zrozumieć potrafi, dzielić myśli jego i osłodzić mu życie.

Każda chwila przedłużająca niepewność i oczekiwanie wiekiem mu się wydawała.

Zyndram stał, patrząc to na pana, to na kosztowności przed nim rozrzucone, czekał słowa, rozkazów.

– Stary mój, – przemówił wreszcie król, jakby ocknąwszy się z zadumy – wszystko to piękne jest... a wszystkiego tego dla córki króla Jana za mało... Radbym jej pod nogi rzucić co najpiękniejsze i najdroższe na świecie. Warta jest tego.

– Wybierz co najwspanialsze, nagromadź jak najwięcej. Byłeś w Pradze? – zapytał nagle.

Stary Zyndram podniósł siwą głowę powoli zdziwiony nagłym pytaniem. Chwila upłynęła, nim się zebrał na odpowiedź.

– Dawno już, dawno, miłościwy panie.

– Takimby ja, z pomocą bożą, chciał mój Kraków uczynić – odezwał się król ręce składając. Wspaniałe, przepyszne, wielkie, bogate i silnie obronne miasto... Tam się nam uczyć rządzić, budować i ład zaprowadzać.

Zyndram nie rychło odpowiedział.

– A jednak od tych, co tu przybywają, miłościwy panie, skargi słyszymy mnogie. Ta wspaniałość, mury, królewskie wyprawy po świecie, dwór, rycerstwo, ogromnie kosztują. Żydzi się do nas wynoszą, tak ich tam podatkami okładają niemiłosiernie, uciekają mieszczenie, tyle z każdym powrotem do Pragi król Jan od nich wyciąga...

Każmirz potrząsł głową.

– Kiedyż się nie skarżą ludzie? – odparł. – Naród czeski może się swym monarchą pochłubić! za wzór go rycerzom stawić.

Milczał Zyndram, gładząc brodę, przeczyć nie śmiał.

– Ludzie powiadają – dodał po cichu, widząc króla zamyślonego – że monarcha ten zapewne nie długo już panować będzie. Musi się synem wyręczać.

– Chory jest na oczy – rzekł Kaźmirz. – Lekarz arab niecny człek, już go prawego pozbawił, lecz jeździł do francuzkich doktorów, wraca właśnie z Montpellier i Awinjonu, Bóg da...

Król zadumany nie dokończył, i po małym przestanku rzekł, westchnąwszy.

– Margrabia morawski Karol, godzien ojca! Jego i żonę jego Biankę kochają Czesi...

– Ma on i nieprzyjaciół – szepnął Zyndram, który się zdawał dobrze uwiadomionym.

Król popatrzył nań i zamilkł.

W przyległej sali, w której zwykł był przyjmować, siedzący dworzanie, marszałek i służba poruszyła się, szeptano. Kaźmirz baczno ucha nastawił.

Wtem zlekka podniosła się u drzwi opona i cichym głosem oznajmił dworzanin dostojnych gości przybycie.

Król zostawując Zyndrama przy rozłożonych klejnotach, żywo wyszedł do sali.

W pośrodku jej stali oczekujący nań dwaj duchowni z krzyżami na piersiach, w sukniach biskupich. Wesołą twarzą witał ich król obu.

Pierwszy z nich był słusznego wzrostu, okazałej postawy, rozumnego oblicza, któremu tylko odbierały wyrazu nieco zmrużone, zmęczone i chore oczy.

Wejrzenie z pod powiek wychodziło natężone, niepewne, z wysiłkiem; ręką zasłaniał się od światła. Pomimo tego cierpienia twarz odznaczała się pogodą i majestatem; rysy jej pełne były energii męskiej i razem łagodności.

Był to Jarosław Bogorja, Arcybiskup Gnieźnieński, ojciec duchowny i umiłowany królowi kapłan; najbliższy jego serca, powiernik myśli i doradzca.

Stojący za nim skromnej, niepozornej postaci, chłodnego

wyrazu twarzy, z rękami zsuniętymi w szerokie sukni rękawy, mąż nie młody już – wiekiem nieco pochylony, był Jan Grot, Biskup Krakowski.

Nawiedziny te Kaźmirz przyjmował z widoczną radością, jakby ich pożądał i czekał...

Dwór otaczający usunął się natychmiast, zostali sami, Arcybiskup usiadł przy królu, Jan Grot przy nim milcząco.

– Są wieści jakie? – zapytał Bogorja, ze współczuciem zwracając się do Króla.

– Spodziewam się! czekam! pożądam, ale dotąd nic z Pragi, począł Kaźmirz, wzdychając. Obawę wielką mam – dodał ciszej nieco – Komuż na nieprzyjaciołach zbywa? Mnie i mój kraj odmalowano pono księżnie Margarecie tak, by ją zrazić i nastraszyć...

Na dworze Jana, przy margrabi Karolu, ludzie są różni i zamiary ich rozmaite. Są tacy, którzy przeszkodzić by radzi.

– Lecz miłość wasza – przerwał arcybiskup – masz za sobą ojca, masz brata. Ci najbliżsi są, od nich dziś wdowa zależy. Małżeństwo to, da Bóg, przyjść musi do skutku...

Podniósł rękę do góry.

– Da Bóg! powtórzył.

– Najżywiej go pragnę – począł król – lecz im dłużej się przeciąga niepewność, więcej trwożę.

– Modlimy się – rzekł cicho Biskup krakowski.

– Wprawdzie – dodał Kaźmirz, zniżając głos i spuszcżając oczy – zapewniłem siostrzeńcowi Ludwikowi następstwo po

mnie... lecz jeszcze się nie wyrzekł nadziei że mnie Bóg, mężkiem potomstwem obdarzy.

Biskupi milczeli, król posmutniał.

– Wiem, że w Budzie nie radzi będą ożenieniu mojemu, i siostra Elżbieta żal uczuje do mnie, nie mogę się jednak pogodzić z tą myślą, abym miał być ostatnim.

Arcybiskup przeżegnał mówiącego w cichości i szepnął.

– Ja mam dobre przecucia, nie odmówią Wam. Da się córka króla Jana nakłonić... nie do pogardzenia jest królestwo, które Bóg coraz nowym przyrostem obdarza... zdobyliście Ruś, odzyskacie kiedyś Pomorze, Mazowsze też musi się kiedyś połączyć...

– Myślę – dodał powoli Jan Grot – że i owe skarby na Rusi zdobyte, o których po świecie szeroko prawią, królowi Janowi ochoty dodadzą do swatania córki, bo żądny jest grosza... a rozsypuje go niebacznie...

– Sławę zdobywa – odparł Kaźmirz – a ta więcej warta niż złoto.

– Rycerz prawy – rzekł Arcybiskup – ale też jako rycerz niepohamowany i nieunoszony w namiętnościach. Szkoda, że piękne swe przymioty kazi tem zuchwalstwem...

Król zarumienił się nieco.

– Wiele przebaczyć trzeba tym, którzy brzemiona ciężkie noszą na barkach – rzekł zwrócony do Bogoryi.

Jarosław odparł łagodnie.

– **Wiele** przebaczyć trzeba, ale **wszystkiego** nie można...

Rozmowa przerwana została... wszedł Kanclerz, niesiono do wiadomości króla przygotowane zapisy dla kościołów, zamiany wiosek, nadania.

Każmirz słuchając i potakując, oczy miał ciągle zwrócone ku podworcom, uszy wyteżone na szmer, jaki z nich tu dochodził.

Po wyjściu biskupów, nadeszli inni urzędnicy, odprawieni łaskawie, ale obojętnie; myślą był pan gdzieindziej.

Kochan Rawa, znający go dobrze, czytający w oczach tę niecierpliwość i zawsze chciwy przysługi, stał w przedsieniu, aby spodziewanego z Pragi gościa pierwszy pochwycił i panu przyniósł, jak się spodziewał, wesołą nowinę.

Lecz wieczór nadchodził, a posta pożądanego nie było. Coraz frasobliwszym stawał się Kaźmirz...

Z końcem dnia uchodziła nadzieja, aby wieść nadejść mogła rychło. Niechętnie naówczas podróżowano nocami, drogi były niepewne, rozboje częste...

Kochan poszedł do pana, któremu ochmistrzyni właśnie przywiodła była córkę sierotkę.

Król ze smutkiem w milczeniu ścisnął szczebioczące dziecko, a na widok nadchodzącego powiernika żywo je odprawił.

Gdy sam na sam znajdowali się z sobą, ulubieniec, który przy ludziach głębokie, królowi należne okazywał uszanowanie, przybierał dawny tryb poufały...

Kaźmirz takim go mieć lubił.

– Kochan – zawołał wybuchając – co ty mówisz na te zwłoki??
Ja przeczucia mam złe!

– Ja najlepsze – odparł wesoło – ulubieniec. Lecz, gdyby mnie ono omyliło, miłościwy panie, czyż tak trudno o księżniczki dla młodego i pięknego króla?

– Ja tej chcę a nie innej – żywo począł król, a spostrzegłszy, że się Kochan uśmiechnął, dodał:

– Powiesz mi, żem jej nie widział? lecz, odmalowali mi ją na dworze Karola ci, co ją znają od dzieciństwa... jakbym miał przed oczyma ją i jej piękność!! Jest piękniejszą od innych, i ma w sobie ten charakter szlachetny, który ja w jej rodzie cenię. Coś ze krwi bohaterskiej Jana. Innej nie chcę nad Margaretę!

Kochan słuchając, ramionami poruszył.

– Już dla tego samego, żeście mogli, miłościwy panie, tak ją umiłować nie widząc, powinna być waszą.

– Musiała przybyć do Pragi – dodał król. – Margrabia Karol przyrzekł mi, iż dołoży starań, by ją przekonać, że za męża iść powinna.

– Do królewskiej korony nie tak bardzo namawiać potrzeba – odparł Kochan szydersko. – Podroży się piękna wdowa, ale ręki nie odmówi.

– Dałby to Bóg – rzekł król.

I zwrócił się, zbliżając szybko do dworzanina swego.

– Kochan – rzekł – wszak prawda, wstydu sobie uczynić nie damy w Pradze! Potrzeba wystąpić tak świetnie jak na króla polskiego przystało, ty mi pilnuj! Ja głowę tracę z tej niecierplivej miłości dla kobiety, której nie widziałem w życiu. Najlepsze konie, najwspanialsze opony, najkosztowniejsze

suknie, zbroje...

– Cały skarbiec trzeba zabrać z sobą, bo tam łakomych nań rąk wyciągnie się siła – odparł Kochan.

– Skarbiec? niech idzie cały! zawołał Kaźmirz, potrafiemy go napełnić, a w Pradze musimy olśnić ich.

– Lud mi wybierz dorodny! – dodał król – ja na ciebie wszystko zdaję. Nie żałuj nic... odpowiesz mi...

– Uczynię wedle rozkazu – rzekł Kochan – ale czas, aby miłość wasza kazała dać wieczerzę, i zapomniła przy stole o trosce... Mnie już z wieczernika dochodzi zapach mięsiwa...

Tym sposobem, jak zwykle, Kochan usiłował króla rozerwać. Wywiódł go do jadalni, stanął za nim ze dzbanem, skinął na Szupkę, dworskiego błazna, aby pana zabawiał, zagadał sam, pobudził drugich, i nieco chmury z czoła królewskiego rozpedził.

Kaźmirz jednak za każdym głośniejszym w dziedzińcu, u bram wołaniem, odwracał się, nasłuchiwał, posyłał. Snił jeszcze o pośle z Pragi, którego się nie doczekał dnia tego.

Kochan od brzasku na gościniec ku Pradze na najszybszym koniu wyprawił młodego Przedbora Zadotę, przyjaciela swego, w nadziei, że ten może spotka gońca, dowie się coś od niego i z dalszą wieścią go wyprzedzi. Stało się właśnie jak żądał. Przedbor, który do Króla był wielce przywiązany, jak wszyscy, co go otaczali, ani siebie ni konia nie oszczędzał, i w istocie o mil parę od Krakowa spotkał Mikulasa z Lipy, którego król Jan wyprawił, aby przybycie Margarety i jej zezwolenie na małżeństwo zwiastował Kaźmirzowi.

Margrabią Karol dodać kazał poufnie, aby król polski, odebrawszy wiadomość, pospieszał na wesele, dopóki by wahająca się księżna nie zmieniła postanowienia pod wpływem osób, które się o to starały.

Do pospiechu zachęcać króla nie było potrzeba pewnie.

Przedbor chwyciwszy języka, Czechom dając spoczywać i do wyjazdu się sposobić, sam konia poparł tak, że ostatnim tchem jego dobiegł do Wawelu.

Dwa słowa zamienili z Kochanem i ulubieniec pański biegł z twarzą rozweseloną do komnaty, w której król wielkimi, niespokojnymi przechadzał się krokami.

Uśmiech jego i oczy błyszczące dały odgadnąć dobrą nowinę.

– Czechy przybywają za godzinę! – zawołał w progu Kochan – niosą zaproszenie na wesele.

Kaźmirz rzucił mu się na szyję, Kochan go całował po rękach.

– Zkądże wiesz?

– Posyłałem Przedbora...

Złoty łańcuszek ze stołu chwyciwszy król zawiesił na szyi Kochanowi.

– Zadorze nagrodę jaką chce! – zawołał – Rozkazy wydawać do podróży, na jutro... Radbym dziś... Kaźmirz poruszony wielce ręce łamał. Śmiał się i sam miarkować się usiłował, gdyż sobie nawet śmiesznym się i zbyt młodym wydawał. Wielka radość nie dawała mu spokoju. Żywa wyobraźnia malowała piękną Margaretę, życie z nią, kolebkę syna, przyszłość jasną i wielką.

Przymierze z Janem osłaniać miało Polskę, na Rusi jeszcze czekały zdobycze, krzyżacy musieli być pokonani.

Zdało mu się, iż wszystko to od ożenienia zawisło, że z niem nowa era w życiu rozpocząć się miała, przebaczenia, pokoju, domowego szczęścia, błogosławieństwa Bożego.

Okolo południa Czesi, przeodziawszy się w mieście w gospodzie, jak na posłańców króla przystało, – strojno i zbrojno wjechali na krakowski zamek. Tu już dwór cały, okazały, liczny, czekał na przyjęcie, król w posłuchalnej sali z kasztelanem i wojewodą krakowskim, w mnogich dostojników otoczeniu, gotował się na powitanie Mikulasa z Lipy.

Był on synowcem wielkiego podkomorzego króla Jana, i proboszcza wyszehradzkiego Jędrzycha. Z postawy i ubioru łatwo w nim poznać było można rycerza, co przy swym królu długo wędrował po świecie i umiał z tego korzystać. Właśnie miał to Mikulas, czego na dworze Kaźmirzowym wielu brakło, ogładę, pańskość, wytworne i miłe obejście się zachodnią cywilizacją zmiękczonego człowieka.

Każdy ruch jego był obrachowany i wdzięczny. Nie brakło mu siły, bo cóż był wart wówczas rycerz bez niej, gdy coraz bardziej zaczynano się okuwać żelazem, i okrywać niem od stóp do głowy, gdy tak odzianemu potrzeba było zwijać się zręcznie, na równie opancerzowanym do turniejów koniu?

Znaczna część polskiego dworu z pewną zazdrością spoglądała na tego wyelegantowanego posła, którego strój, uzbrojenie, koń, ryszunek nowe były, kształtów niezwykłych i

form wytwornych.

Poselstwo przyjął król uprzejmie. Stoły gotowe były na ugoszczenie. Zasiadł Kaźmirz pierwszy raz od dawna z myślą wesołą, z mową swobodną, dopytując o króla, o margrabiego, o przyszłą narzeczoną.

Mikulas z Lipy nadto był zręcznym dworakiem, aby całą prawdę miał wyznać, odpowiadał więc ogólnikami i starał się wszystko w świetnych barwach malować. Ucztowano tak długo, Kaźmirz wstał wreszcie, a Kochan, dodany posłowi za towarzysza, zaprowadził go do jego komnat dla spoczynku.

Tu dopiero Mikulasowi rozwiązały się usta. Kochan był mu poufale znanym z Pragi.

– Nie smućcie pana waszego – rzekł poseł cicho. – Wieści takim przywiózł, jakie mi dano, ale nie wszystko u nas dobrze się dzieje. Król Jan oślepl już i na drugie oko, tak go dobrze doktory francuzkie kurowały. Chodzi i myśli o pokucie za grzechy. Margrabia ma wrogów, choć Mikulasa z Potstajnu zmógł, a królowna Margareta, choć słowo dała, płacze, i trzeba je spieszyć wziąć, aby nieodebrała. Więc w drogę! ale królowi o złem nie mówcie. Ujrzy je prędko oczyma własnymi...

Kochan zachmurzył się.

– Na miłego Boga, o tem nikomu ani wy, ni ludzie wasi, nie powiadajcie na dworze.

– Królowi staremu wzroku nie przywrócimy! ale gdy Margareta wasza zobaczy narzeczonego, otrze łzy pewnie i z dobrej woli rękę mu poda.

Mikulas skłonił głową milcząco.

Nazajutrz ogromny orszak kilkuset jezdnych, wozy kryte, konie powodne, czeladź mnoga, wyciągała z zamku na Wawelu. Wesele twarze rozjaśniało. Spodziewano się dobrych, pięknych dni majowych nad Wełtawą.

Król jechał otoczony panami, odmłodzony, szczęśliwy, i na progu kościoła wzięwszy biskupie błogosławieństwo, podniósł oczy śmiało ku niebu.

W mieście czekali nań rajcy, wójt, ławnicy, lud tłumnie zebrany. Żegnano go i błogosławiono, by żyw a zdrów z królową powracał. Śmiały się oczy i usta Kaźmirzowi, i mijając, ręką pozdrowiał. Wtem pod ścianą starego domu zatrzymało się jego oko, twarz zbladła, usta zatrzęsyły. Ukryty tak, jakby nie chciał być spostrzeżonym, stał w kącie mężczyzna bladej, czarnej włosa, oczu dzikich, ust zapadłych. Miał na sobie rycerską zbroję, a w rękę toporek, na którym się podpierał. Ujrawszy króla przycisnął się do ściany, twarz osłonił, lecz Kaźmierz spostrzegł go i jechał, jak rażony pociskiem. Nie widział już nic. Przed oczyma jego poszarpane ćwierci ciał ludzkich latały krwawe.

– Szatan tu przyniósł Amadeja! – mruknął Kochan mijając.

Świetną już i wspaniałą była owa „złota Praga” nad Wełtawą za króla Jana Luksemburczyka. Niewiele miast w Europie mogło

się z nią równać.

Natura dała jej położenie urocze, malownicze, jakby stworzone dla królewskiego grodu, a pokoleń kilka pracowało nad upiększeniem i wzrostem zamków, które panowały nad miastem, i murów, co je otaczały i zdobiły.

Zdała już mury te, najeżone wspaniałymi wieżami, wśród których wielka wieżyca świętego Szczepana i wyniosła przy św. Franciszku górowały, – dachy i dzwonnice licznych kościołów, ogromne, warowne ściany, dzielące stare miasto od nowego pod grodem, dawały wyobrażenie o potędze stolicy, która wkrótce ulubioną siedzibą cesarza Niemiec całych być miała.

Stare miasto, *civitas antiqua*, odznaczało się szczególnie, wielką ilością pięknych kościołów i mnogością murowanych domostw wspaniałych. Zakony św. Franciszka, Dominika, Benedyktyni, świątynie św. Jacka, św. Krzyża, św. Mikołaja zdobiły tę część miasta, która była ziarnem, co puściło latorośle do koła. Dumny swą starożytnością gród-matka murami się osobno opasał i ogrodził od nowego, które teraz już z pierwotną osadą walczyło o lepsze. Sześć, wspaniałych po większej części, bram wiodło do niego. Tu był piękny dom biskupi, niedawno wytwornie przyozdobiony, w którego malowaniami okrytym, rzeźbami strojnym wieczerniku, pasterz mógł królów przyjmować.

Stary gród pański nad nim, z najdawniejszą św. Wita świątynią i klasztorem przy niej, z pałacami, wieżami swemi, „rajskim dworcem”, po którym wspomnienie i imię zostało, z dworami

burgrabiego i innych urzędników królewskich, dumnie ponad miastem się wznosił.

Dokoła szeroko już rozlegały się przedmieścia na Porzeczu, Podskale, Zderaz, pod Wyszehradem, Podole, niemal aż do Zbrasława się rozchodząc.

Żydzi, z których król Jan ciągnął tak wielkie dochody, mieli już nietylko swą część w starem mieście, ale i zahradę na Porzeczu.

Na Wyszehradzie, którego dawny pałac królewski darowany był dziekanowi, wznosił się dźwignięty z ruin kościół św. Piotra.

Miasto już, jedno z pierwszych naówczas, nawet około porządku i czystości swych ulic i targów się krzątało. Piękną była, domami bogatych mieszczan otoczona Długa ulica, a Sukiennice praskie może do budowy później urządzonych krakowskich posłużyły.

Jak w polskich miastach rzadkie jeszcze naówczas były mury, któreby im powierzchowność wspaniałą nadać mogły; tak tu niemal gród cały stał już z kamieni i cegły.

Były one nietylko ozdobą, ale rękojmią bezpieczeństwa, bo osłonięta niemi Praga, w ówczesnym stanie sztuki wojennej i oblężniczej za niezdobytą uchodzić mogła. Po za temi grubymi ścianami, których wysokie wieże bronić dzielnie dozwalały, mogły się bezpiecznie gromadzić bogactwa, jakie przemysł i handel sprowadzał.

Rycerskiego ducha królowi Janowi stolica taka przystała. Należał on do najmężniejszych osobiście, do

najniespokojniejszych, chciwych panowania, władzy, sławy i blasku monarchów współczesnych, ciągle potrzebował nowych wypraw, zdobyczy, gorączkowego zajęcia, namiętnie ściganego celu. Praga była mu za ciasną jeszcze, nazbyt od świata odległą, ale z miłością ojcowską zdołał ją, rozszerzał, i zazdrosnym był o panowanie nad nią.

Gdy zmuszony podzielić się władzą, zwierzył rządy Czech synowi Karolowi, margrabiemu morawskiemu, który wraz z małżonką swą Bianką wkrótce pozyskał wielką miłość narodu, Jan niespokojny o współzawodnika w synu własnym, od rządów go wkrótce oddalił.

Lecz wnet znowu miał być zmuszonym do wypuszczenia z rąk tych wodzów, które tak zazdrośnie trzymał w rycerskiej dłoni. Rycerzowi nie szczęściło się.

W czasie drugiego swego wesela z Beatrycą, ranny silnie w turnieju, wkrótce potem cierpieć zaczął na oczy. Lekarz arabski, sprowadzony doń, pozbawił go prawego oka. *Vox populi* to nieszczęście przypisywał karze bożej za mnogie świętokradztwa i zbytki.

Wkrótce i lewe oko cierpieć zaczęło, nie pomogła podróż do lekarzy w Montpellier. Król Jan właśnie teraz oślepił zupełnie. Nie przeszkadzało mu to turnieje odprawiać, prowadzonemu przez kompanów, i zabawiać się jak dawniej rycerskimi sprawami.

Przymierze z królem Kaźmirzem, które się teraz małżeństwem ściślej jeszcze skojarzyć miało, już od lat

sześciu, od zjazdu w Wyszehradzie węgierskim, trwało prawie nienaruszone.

Naówczas to król młody po raz pono pierwszy odwiedzał Pragę, bawił w niej dni dziesiątek, przyjmowany wspaniale, rozmiłował się w obyczajach zachodnich, w ogładzie rycerskiego dworu, we wszystkich tych zdobyczach cywilizacji zachodu, które w otoczeniu króla Jana go olśniewały.

Wówczas też może, widząc kwitnące miasta czeskie, wspaniałe grody, porządek i surową karność panującą tu, powziął myśl szczęśliwą zagospodarowania w podobny sposób własnego kraju. Dwory węgierski i czeski były mu pewnie pierwszym wzorem do urzędnictwa polskiego.

Bystry umysł jego widział, co ztąd wziąć mógł, a co odtrącić, co zastosować się dawało do Polski, a co jej nie przystało.

Lecz, jakkolwiek troiste przymierze między Węgrami, Czechami a Polską pozornie istniało nienaruszone, nie było już ono tak ścisłym, jak w pierwszej chwili.

Połączenie koron polskiej z węgierską, które już było osnute i ułożone, staraniem siostry Kaźmirzowej Elżbiety, nie mogło podobać się Janowi Czeskiemu. Tworzyło ono siłę, która dlań niewygodną była.

Dlatego król Jan Kaźmirzowi, zawczasie rozpaczającemu o płci męskiej potomka, radził ożenienie, a gdy własna córka jego Margareta owdowiała, starał się ją wyswatać polskiemu królowi.

Od kilku już dni księżna Margareta powróciła, ściągnięta przez ojca, do Pragi.

Przybyła, jakby na okazanie wstrętu swego do nowego małżeństwa, w szatach żałobnych po mężu i po synu swym, którego niedawno straciła.

Ojciec, który nie widział już nic, o żałobie się dowiedziawszy, zrzucić ją kazał.

On i margrabia Karol otaczali ją najtroskliwszemi staraniami, pieścili, usiłując skłonić, ażeby Kaźmirzowii ślubowała. Wieści, jakie w Bawaryi będąc jeszcze, miała o Polsce Margareta, wcale ją do tego związku zachęcać nie mogły. Malowano jej kraj jako dziki i pustylny, lasami zarosły, zimny i smutny, nędzny i ubogi, na ciągle wystawiony wojny i napady, Króla, jako pół poganina, który żon brał tyle, ile chciał i życie prowadził rozwiązłe.

Wcale inaczej mówił o Kaźmirzu król Jan i margrabia morawski. Chwalili go, jako najszlachetniejszego serca, umysłu bystrego, najlepszemi chęciami ożywionego człowieka, pana wielkiego królestwa i ogromnych skarbów, na Rusi zdobytych.

Samą zresztą osobę młodego pana, który rycersko i pięknie się przedstawiał, a w gonitwach i turniejach nikomu nie ustępował, król Jan wynosił i sławił.

Napróżno Margareta, ojca ściskając, zapewniała go, że za męża iść nie chce. Despotyczny Jan żądał od córki poświęcenia dla interesu własnego i chciał ją widzieć koniecznie na królewskim tronie.

Nie dawano jej prawie spocząć, odetchnąć, rozmyślić się, nalegając o słowo.

Jednego z tych dni, które poprzedziły wysłanie Miklasa z

Lipy do Krakowa, po długiej przy stole po wieczerzy rozmowie z ojcem i bratem, Margareta znużona wyszła nareszcie do izb dla siebie przeznaczonych.

Liczny dość dwór niewieści, po większej części z niemk złożony, ją otaczał. Pomiedzy temi paniami i pannami, rozdzielonemi na dwa obozy, jedne potakiwały wdowie, drugie, idąc za rozkazaniem króla Jana, starały się ją do małżeństwa nakłonić.

Stara niegdyś piastunka Margarety, pół włoszka na pół niemka, Agnes, przez przywiązanie do wychowanki, stawiała w jej obronie. Obawa ściągnięcia na siebie gniewu ojca możeby była ją powstrzymała od zbytnej gorliwości, gdyby za przybyciem do Pragi nie znalazł się ktoś, co znając jej wpływ, natychmiast starał się z niego korzystać.

Był nim, od dawna w Pradze osiadły, znaczny handel wiodący z Węgrami, mający na dworze tamtym stosunki, Hinko Pelarz.

Był to człowiek nieodgadnięty, milczący, umiejący się wcisnąć wszędzie, znikający często na długo, odbywający podróże, liczne mający związki, dobrze widziany od duchowieństwa i dworu, podejrzewany jednak przez swych współbraci o jakieś polityczne konszachty.

Nikt nad Pelarza niżej się nie kłaniał królowi Janowi, nie służył gorliwiej margrabiemu Karolowi, nie przykładał się hojniej do pożyczek, jakich król od mieszczan wymagał; a pomimo to po cichu oskarżano go o cale niewiernopoddańcze intrygi.

Hinko powrócił był z Węgier niedawno i zdał się czatować pilno na przybycie Margarety. Nazajutrz zaraz pośpieszył do grodu powitać dawną swą dobrą znajomą i przyjaciółkę Agnes.

Bogaty Pelarz był zawsze u dworu gościem pożądanym.

Agnes, jak wszystkie podżyłe niewiasty, potrzebowała mówić wiele, nie mogąc już nic robić prawie. Narzekanie było dla niej pociechą. Narzekała na losy swoje, swej pani, całego rodu, i na nieszczęśliwe czasy, i na wszystkie klęski, jakie na ród ludzki spadały.

Lat trzy upłynęło, jak szarańcza nawiedziła Czechy, Agnes i o niej jeszcze dotąd zapomnieć nie mogła.

Pelarz, który mówił niezbyt wiele, słuchał za to przykładnie.

Zasiedli we dwoje w izdebce, gdy Margareta modliła się w jednej z kaplic w kościele św. Wita.

Agnes opowiadała naprzód, jak mąż jej pani nagle i nieszczęśliwie życie zakończył, potem, jaki był żal po nim, jak zachorzał jedyny synaczek, na którym spoczywały wszystkie pani jej nadzieje, i jak ten znowu nagłą śmiercią młodą Margaretę do rozpaczki niemal przyprowadził.

Pelarz słuchał tego wszystkiego z zajęciem wielkiem i współczuciem. Dodał, iż na świecie teraz całe lekarzy nie było, coby człowiekowi radzić mogli, czego dowodem był nieszczęśliwy król Jan, przez nich oślepiiony.

Płakała i łzy ocierała Agnes.

Zgadało się o nowym małżeństwie, tak wstrętliwem młodej wdowie. Pelarz wysłuchał pierwszych zwierzeń i dopiero teraz

przerwał uparte milczenie. Półgłosem, cichutko, jako przyjaciel rodu królewskiego, odradzał najmocniej to połączenie.

Agnes powinna była przez miłość dla swojej pani zapobiedz mu, aby Margarety nie uczynić najniezwyklejszą.

– Bywam często na Węgrzech – rzekł tajemniczo – tam i w Krakowie, gdzie przyjaciół mam, nasłuchiwałem się dosyć o Polsce, przeszłym i teraźniejszym jej królu. Księżna przywykła do innych obyczajów, wyżyłaby tam nie mogła. Kraj dziki, prawie bez dróg, rozbojów pełen, lasami zarosły. Niszczą go raz wraz tatarzy, litwa, krzyżacy, ruś, sąsiedni książęta. Miasta są drewniane, wsie, jak szałas, lud skórą ledwie okryty, głody częste, niedostatek wielki.

Agnes słuchała ręce załamując, żegnając się i wzywając na ratunek patronów świętych.

Pelarz powoli, od słowa do słowa, począł z niechęcią mówić o młodym królu Kaźmirzu.

Wiedział on pewną historię węgierską.

Stara ochmistrzyni zaklęła go, aby ją opowiedział. Naówczas Pelarz, dawszy się prosić i, jak zmuszony, z pięknymi dodatkami własnego pomysłu wyśpiewał całą sprawę Amadejów, czerniąc królowę i jej brata.

Według niego miał to być człowiek dziki, namiętności niepohamowanych, rozwiązłości najstraszliwszej. Zresztą, jak on powiadał, obyczaj kraju powszechny, pogański jeszcze, upoważniał do związków niezliczonych, które się jak małżeństwa uważały. Margareta więc miałaby być nie żoną, ale jedną z żon

polskiego króla.

Opowiadanie to zgrozą nappełniło staruszkę, a razem wdzięcznością dla człowieka, co jej tak ważne odkrywał tajemnice.

Tegoż dnia pośpieszyła je zwierzyć swej pani, wymieniła źródło. Margareta zażądała usłyszeć to z ust samego Pelarza. Wezwano go potajemnie.

Wahał się on, wypraszał, lecz uległ, a gdy usta mu się rozwiązały, łatwo było biedną wdowę przejąć trwogą i wstręt, jaki miała do nieznanego Kaźmirza, stokroć powiększyć jeszcze.

Ze łzami wypraszała się księżna ojcu i niecierpliwemu bratu swojemu, którzy uczuli łatwo, iż wpływ jakiś złowrogi uporowi jej dodał siły.

Kilka dni tak na łzach, na prośbach, na sporach i naleganiu upłynęło.

Agnes co wieczora już osłabła, i złamaną wolą ojca i brata, Margaretę na nowo pobudzała do uporu. Pelarz nawiedzał ją i oliwy do ognia podlewał.

Lecz walka z ludźmi tak silnej woli i gorącego temperamentu, jakimi byli król Jan i syn jego Karol, dla słabej, znękaney kobiety za ciężką się stała, aby z niej zwycięzko wyjść mogła

Król Jan nalegał gniewnie, groził, los przyszły wdowy zależał od niego. Margrabia Karol wszystkie plotki o Kaźmirzu wyśmiewał. Żona jego Bianka niewieściami argumentami starała się Margaretę przekonać. Nie dano jej odetchnąć, zmuszono do dania słowa.

Księżna w ostatku przyrzekła być ojcu posłuszną.

Natychmiast wyprawiono poselstwo do Krakowa, a król kazał czynić przygotowania do wesela. Miało ono być najwspanialszem, najwystawniejszem i natychmiast burgrabia Hynek młodszy z Dube, wezwany do króla, otrzymał polecenie, aby w mieście przygotowania czyniono.

Czas wiosenny dobrze się do uroczystości nadawał, która zarazem dworską, ludową i ze współudziałem całego duchowieństwa miała się odbywać.

Gdy Margareta we łzach się rozplęwała, na grodzie i w mieście już obmyślano wspaniałości, występy, z jakimi króla polskiego przyjmować miano, witać, zabawiać i obchodzić wesele.

Wielki turniej zapowiadano wcześniej, w rynku starego miasta stoły dla ludu, na zamku ucztę dla polaków, śpiewy skoki i zabawy.

Lecz od tego dnia, gdy na niej wymożono słowo, już się odwołać niedające, biedna Margareta słabnąć zaczęła.

Ojciec oślepy nie mógł dostrzedz na pięknej jej twarzy ani śladów łez, ni wewnętrznego ucisku, brat Karol brał to po mężku i wyrokował, że smutki i postrachy przejdą za przybyciem Kaźmirza.

Chwiejąc się, osłabła, pierwszego dnia po tem wyszła piękna Margareta milcząca, dla obiadowania z rodziną. Ojciec napróżno chciał ją do rozmowy nakłonić, odpowiadała pół słowami. Łzy chwilami wytryskały z jej oczu. Czuła się ofiarą.

Wreszcie usunąwszy się do swych komnat księżna, pozostała w nich do nocy. Agnes kazała się jej położyć, kobiety łoże otoczyły. Jedne z nich grać i śpiewać chciały dla rozrywki, Margareta nakazała milczenie.

Nazajutrz nie wyszła do ojca, przechadzała się od okna do okna z trwogą w nie patrząc, i drżąc na myśl, że straszny ów narzeczony lada chwila przybyć może.

Nie dał się wiadomością o chorobie złamać król Jan, nie chciał zważać na nią. Dopytywał o przygotowania weselne.

Margrabia Karol lekceważył też kobiece dziwactwo.

Zdaniem ich obu, ukazanie się pięknego, młodego, szlachetnego Kaźmirza wszystkie przeciwko niemu powzięte uprzedzenia rozproszyć miało.

Zbliżył się wreszcie dzień przez jednych z taką trwogą, przez innych z taką oczekiwaną niecierpliwością.

Margareta na usilne prośby Bianki i brata podniosła się z łoża. Męczeństwo zdawało się już nieuniknione, postanowiła je znieść z rezygnacją.

Sam na sam ze starą Agnes, która swemi żalami nad jej nieszczęśliwym losem zwiększała jeszcze trwogę, Margareta zapowiadała już rychłą śmierć swoją.

– Nie płacz stara – mówiła do niej – ja długo się męczyć nie będę. Ja się ztąd nie dam wywieść w ich straszne lasy i pustynie, na poniewierkę, na niewolę...

Ja tu umrę.

Agnes za kolana ją ścisnęła, zachodząc się z płaczem i jęków.

Nie było ratunku. Król nie dawał mówić sobie nawet o zwłoce wesela dla choroby. Karol niecierpliwił się tylko dziwactwem siostry.

Było li jakie uczucie, wspomnienie, nadzieja, które ten opór i wstręt zwiększały? o tem nie wiedział nikt może, oprócz starej ochmistrzyni.

Piękne lice księżnej bladło i więdło.

– Tem lepiej – odpowiadała, gdy się użalano nad nią. – Znajdzie mnie może brzydką i nie zechce.

Jednego wieczora wreszcie goniec, wysłany naprzód przez Mikulasa z Lipy, wpadł na zamek, oznajmując królowi Janowi przyszłego zięcia przybycie.

Na uroczyste przyjęcie wszystko już gotowem było.

Oślepy król żałował, że sam naprzeciw Kaźmirza, choć do miasta, wyjechać nie mógł. Miał go w tem zastąpić syn margrabia Karol, któremu towarzyszył wielki podkomorzy Jędrzych z Lipy, burgrabia Hynek i świetny orszak rycerski.

Dano znać do biskupiego dworu, aby duchowieństwo wystąpiło, aby uderzono we wszystkie po kościołach dzwony.

Gdy z wieścią tą wpadła do Margarety Bianka, biedna księżna zachwiała się i padła na pół zemdlona.

Lecz rozkaz ojca był stanowczy. Dwór cały biegł jej posługiwać do ubrania. Król naglił, aby wyszła strojną ukazać się narzeczonemu.

Rozpaczliwe jakieś męztwo wstąpiło w niewiastę strwożoną i osłabłą. Porwała się z łoża i z brwią namarszczoną rozkazała

podawać ubranie.

Było ono wcześniej przygotowanem, a obyczaj ówczesny wymagał, by córka królewska wystąpiła w największym przepychu i blasku. Suknia ze złotogłowa, rąbki jak mgła przejrzyste, ciężkie klejnoty, naszyjniki z drogich kamieni, szeroki i wielki pas złoty, jakie wówczas noszono, purpurowy płaszcz szyty i bramowany, wkładano z kolei na bladą ofiarę, która nic czuć, nic się nie zdawała wiedzieć, co się z nią działo.

Agnes płakała, przypadłszy w kącie, kobiety biegały przypinając, wiążąc, nakładając na ręce bezwładne bogate kolce.

W tem na mieście ozwały się dzwony, Margareta się zachwiała, służebne musiały ją podtrzymać, by nie padła.

Na zamku słychać było tentent koni i szczęk zbroi żelaznych. Margrabia Karol, cały odziany w błyszczącą stal wyłaczaną, z ogromnym pióropuszem skrzydlatym na hełmie, wyruszał z podwórców.

Król Kaźmirz, z promienistą, wesołą twarzą, odmłodzoną tą chwilą szczęścia spodziewanego, wjeżdżał do złotej Pragi, witany okrzykami niezliczonych ludu tłumów.

Wspaniale roztaczał się ów orszak polski, kapiący od złota, złożony z ludzi olbrzymiego wzrostu, pięknie dobranych twarzy, we wspaniałych strojach, we zbrojach wykwiłntnych, z tarczami na prawem ręku, na których topory, podkowy, księżycy, gryfy i lwy malowane widać było.

Kaźmirz jechał na białym koniu oponą szkarłatną okrytym, na którym orły perłami szyte świeciły. Szyszak jego, obwiedziony

koroną, miał też orła, zrywającego się do lotu, na szczycie. Otaczali go mężowie sędziwi, młodzież piękna, lud doborowy i liczny.

Trąby hucznie zwiastowały przybycie. Przez ulice miasta zaledwie przecisnąć się można było, pod grodem czekał biskup Jan z Drażic, błogosławiąc i wiodąc na gród gościa.

W wielkiej sali dolnej stał zadumany król Jan, synowa jego Bianka, i blada, jak trup, chwiejąca się Margareta. Król posepny był, dochodziły go odgłosy, ale tego blasku, do którego nawykł był, nie widział. Smutek go ogarniał w tych ciemnościach.

Myliła się księżna, gdy bledniejąc i więdnąc sądziła, iż się tem brzydszą uczyni. Piękność jej, czystość rysów marmurowych, płomień oczu czarnych, podniosły się, spotęgowane boleścią. Nie był to może wdzięk, wedle pospolitego pojęcia owych wieków, wymagających od kobiety świeżości, zdrowia, rozkwitu bujnego. Margareta była bladym cieniem, lecz jakby anielskim jakimś i nieziemskim zjawiskiem.

Smutek i ból, rozlany na jej twarzy, pociągał ku niej litością i współczuciem.

Stała tak, jak ofiara oczekująca kata, gdy przed oknami sali przesunął się orszak, w dziedzińcu powstał zgiełk, Kaźmirz przybywał z Karolem.

Bianka obawiała się o nią i zbliżyła, aby w potrzebie podać jej rękę pomocną. Lecz stało się, czego ona przewidzieć nie mogła, osłabła Margareta nagle drgnęła, odżyła, uczuła się dumną córką królewską, odzyskała siłę całą.

Stała blada, mężna, śmiała, patrząc gorączkowo otwartymi oczyma na wchodzących.

Wzrok jej padł i zatrzymał się na Kaźmirzu, który szedł szczęśliwy i rozradowany, jej szukając oczami. Odgadł ją pewnie, lecz wejrzenie, którym go powitała, raziło, jak cios w piersi wymierzony. Kaźmirz drgnął i zawahał się, idąc na powitanie króla Jana. Trwało to zaledwie oka mgnienie, żywiej jeszcze posunął się ku niemu.

Margareta spuściła oczy.

Nie widziała już nic. Kazano jej podać rękę narzeczonemu. Wyciągnęła ją zimną i martwą. Mówił coś do niej, nie słyszała. Stał przy niej, nie spojrzała na niego.

Do koła gwar był wielki i wołanie.

Na dany znak wszyscy ruszyli do zastawionych stołów i przy pierwszym z nich, obok ojca, posadzono przyszłych nowożeńców. Margareta usiadła, ciągle oczy trzymając spuszczone. Słyszała szept jakiś, ale ust nie poruszyła.

Margrabia Karol pochylił się do ucha przybytemu.

– Margareta była trochę chorą – szepnął mu – nie zważajcie na jej trwogę. Obyczaj to kobiecy, drożyć się z sobą i udawać smutne, gdy są najszcześniejsze.

Kaźmirz też był pełen najśłodszych nadziei, nie zawiedziono go, królowna wydawała mu się cudnie piękną...

Nazajutrz nikt już bladej nie widział Margarety. Obojętnie dosyć król Jan kazał oznajmić Kaźmirzowi, że księżna trochę się czuła niezdrową, lekarz jej nakazał spoczynek.

Dnia tego wcale się ukazać nie miała. Strwożył się król nieco. Kochana wyprawił na zwiady. Ten miał tu licznych przyjaciół i znajomych, a nawet powinowatych. Przebiegły i zręczny, zresztą wszędzie indziej byłby zarówno umiał znaleźć drogę i dostać języka.

Na dworze miał niewiast kilka, do których się dawniej zalecał, bo Rawa miał w obyczaju zawsze i wszędzie szukać niewiast, coby się na jego piękności poznać umiały.

W orszaku księżnej była piękna Zytka, z którą się już dawniej spotykał. Poszedł szukać jej po dworze. Gościnnie wszystkich towarzyszków króla przyjmowano, łatwo mu się więc było o Zytkę dowiedzieć. Wyszła przeciwko niemu wyzwana z na pół smętną, pół uradowaną twarzą, iż dawny wielbiciel tak pilno ją sobie przypomniał.

Zręczny Kochan począł od spowiadania się z tęsknicy swojej, od oświadczeń radości, iż znowu ją zobaczył.

Zytka, bardzo zalotnie wywijając kibicią, już nieco ociężała, i rzucając figlarnemi oczyma, dziękowała uśmiechem.

Nie dowierzała zdradliwemu mężczyźnie.

Żarcikami swawolnemi zawiązała się rozmowa.

Kochan zamawiał ją w tany na przyszłe uroczystości, drożyła się nieco.

– Myśmy do was tu na wesele przybyli, a wy nas przyjmujecie coś kwaśną twarzą i chorobą.

Zytka głową potrząsała, poprawiając trefione włosy.

– Księżna nie w porę zachorowała – dodał Kochan – ale nie straszna to być musi choroba.

Trudno było z dziewczyny dobyć słowo, oglądała się dokoła ostrożnie, ludzi dużo przesuwawało się, podsłuchiwało i chciało mięszać do rozmowy.

Kochan poszedł za nią do komnat na dole, gdzie pod ten czas nikogo z kobiet nie było.

– Jakeś na mnie łaskawa, powiedzże mi, co tu się u was dzieje? choroba prawdziwa, czy zmyślona?

– Naprzód, kto wam powiedział, że ja na was łaskawa? – odparło dziewczę, niby obrażone.

Lecz gniew nie trwał długo, Kochan zbliżka się przysuwał bardzo. Chłopiec był ładny i wszyscy wiedzieli, iż miał łaskę u króla.

– Księżna już od dawna chora – poczęła nareszcie rozdobruchana Zytka. – Nie może zapomnieć nieboszczyka... Straciła dziecię.

– Cóż znowu? – w żarty to obracając odezwał się Kochan. – Za umarłego żywego mieć będzie, a i dziecięcia nie poczeka długo.

Dziewczyna odwróciła się nadąsana, musiał przebłagiwać znowu. Lecz nie szło mu to trudno. Zytka opowiadać zaczęła.

– Boją bo się was tutaj bardzo – rzekła. – Wiemy, jacy wy jesteście i co u was kobieta, choćby i królowa, znaczy.

– Przecieżeśmy nie wilcy i nie zjadamy ich – odparł śmiejąc się Kochan – bo gdybyśmy je pożerali, jabym was pierwszą zjadł, tak mi jesteście do smaku.

Zytka się śmiała. Pochlebstwo, w jakimkolwiek bądź kształcie, choćby niezręcznie podane, pewien skutek wywiera. Dziewczyna, która z początku drożyła się z sobą, zaczęła być coraz miłszą dla Kochana. Patrzyła nań, uśmiechała się wyzywająco, nie wrywała rąk, nie gniewała się, gdy ją, w imię dawnej znajomości, w pół obejmował. Znajdowała, że niewieścią cześć dostatecznie uchroniła, nie poddając się od razu. Usiedli przy sobie na ławie.

Kochan rozpoczął zaraz badanie na nowo.

– Co to jest królownie?

Milczenie, poprzedzające odpowiedź, zapowiadało, że nie przychodziła ona łatwo.

– Królowna! – szepnęła Zytka, spuszczać oczy – ona, ona bo zamąż iść nie chce. Owdowiała niedawno, a – na waszego króla straszne tu rzeczy rozpowiadają.

– Kto? co? – zawołał oburzony Kochan – to są potwarze!...

Zytka, umiejąca podsłuchiwać bardzo zręcznie, wiedziała o historii Amadejów, którą stara Agnes po cichu rozpowiadała.

– Potwarze! – rzekła wznosząc oczy na towarzysza – no, a ta krwawa sprawa z Amadejówną!

– Kłamstwo! – krzyknął Kochan, burząc się. – Król nasz nie

winien!

Zytka mówić mu nie dała.

– Nie wiem – rzekła pośpiesznie – ale tu na dworze wasz pan ma nieprzyjaciół. Nastroili Margaretę przeciwko niemu, z tych wszystko, z tych i choroba...

Kochan się zachmurzył.

– Mocno chora? doprawdy chora? – zapytał.

– Chora i nie od wczorajszego dnia, ale od tego czasu, jak ojcu dać słowo musiała...

– A cóż będzie z weselem? – spytał Kochan.

– Pewnie poczekać na nie musicie – westchnęło dziewczę.

Rawa udać musiał, że mu szło o wesele to i skoki dla samego siebie tylko. Wzdychał, przymilając się do dziewczęcia.

Wybadał z niego usposobienie starej Agnes, nawet źródło historyi Amadejów u Pelarza. Zamówił sobie, gdzieby mógł się spotkać znowu, i poszedł do króla.

Lecz Kaźmirza już nie zastał w jego mieszkaniu; troskliwy o zabawienie gościa margrabia wziął go z sobą, aby się przypatrzył przygotowaniom do turnieju.

O naznaczeniu dnia wesela, które Kaźmirz chciał przyśpieszyć, rozmówiono się krótko. Samowolny król stary, nie zważając na córki chorobę, chciał je koniecznie w dniu św. Małgorzaty, imiennym księżnej, odprawić. Pozostało dosyć czasu, aby się przygotować, przekonać i ozdrowieć mogła.

Kaźmirz musiał przyjąć postanowienie przyszłego teścia i czekać św. Małgorzaty. Tymczasem nie szczędzono nic, aby

koronowanego gościa i towarzyszków jego zabawić.

Miasto przybrało świąteczną powierzchowność. W rynku ustawiono stoły dla ludu, muzyki grały na gankach wież i bramach. Początki świetne przeciągały ulicami. Na zamku miała być uczta i turnieje, wieczorem śpiewy i tany.

Tego wymagał obyczaj dla gościa, choć choroba Małgorzaty wszystkim chmurzyła oblicza. Nie miała ona jeszcze groźnego charakteru i spodziewał się król, że wypoczynek, uspokojenie, jutro pozwolą księżnie ukazać się na pokojach.

Każmirz, zmuszony udawać wesele, niespokojnym był mocno. Gdy się nie zmuszał do okazywania radości, nagle stawał zadumany i jak kamienny. Naprózno margrabia Karol usiłował go rozerwać.

Plac do turnieju obwiedziony już był sznurami, sędziowie wybrani, tarcze mających się spotykać powywieszane. Oba z margrabią obeszlili go, wiodąc za sobą nieodstępny dwór, ale król polski zdawał się mało zajmować rycerską tą zabawą. Wrócili wkrótce oba do mieszkań margrabiego, gdzie sam na sam spocząć i rozmówić się mogli. Każmirz żądał tej rozmowy.

Karol żywy i niecierpliwy, który z trudnością usiedzieć mógł w miejscu i na chwilę powstać beczynnym, wprowadziwszy Każmirza do izby, którą zajmował na zamku, siadł zaraz i według nałogu, jaki miał od dzieciństwa, chwycił do rąk kawał drzewa, który nożem zapalczywie obrabiać począł.

Była to jego ulubiona, nawet przy gościach zabawa. Pierwszy lepszy kij, lub kawałek drewna służył mu do rzeźbienia często

pociesznych postaci i dziwacznych figurek.

Kaźmirz patrzył nań z podziwieniem, twarz jego teraz, gdy sami zostali, smutkiem się oblekła.

– Margrabbio mój, bracie serdeczny – rzekł z wywnętrzeniem, którego potrzebował. – Ty wiesz, jak mi drogie jest połączenie się z rodem waszym. Pragnąłem go, nie widząc Margarety, dziś, gdy ją zobaczyłem, mocniej jeszcze pożądam szczęścia tego... Lecz... księżna...

Karol podniósł prędko oczy, nad robotą około sękowatego kija spuszczone.

– Czyż kobiet nie znasz? – odezwał się. – Mają one swe dziwactwa, mają słabostki, wiele im pobłażać należy. Margareta niedawno straciła dziecię.

Miej cierpliwość.

– Pragnąłbym widzieć się, pomówić – rzekł Kaźmirz. – Mieć może uprzedzenia, ludzie są złośliwi, może bym potrafił uspokoić ją. Wszak nie jest tak chorą?

Karol, nie rzucając roboty, podszedł ku drzwiom i marszałka swego wprost do siostry wyprawił, oznajmując odwiedziny narzeczonego.

Tu wcale się ich nie spodziewano, księżna nie była ubrana, leżała w łóżku, siedziała przy niej stara Agnes. Gdy nadeszły nie prośby, ale rozkazy, musiano co najprędzej przystroić księżnę, którą to natręctwo Kaźmirza rozgniewało. Nie mówiąc nic, ale wejrzeniem piorunującym zmierzwszy posłankę, która jej wolę brata przyniosła, dozwoliła się przybrać, jak chciano.

Naprawdę dobyto suknie, zawiązano włosy, przyniesiono klejnoty. Księżna ubierać się dała, nie objawiając woli żadnej, nie chcąc uczynić wyboru. Zamiast potem usiąść w krześle dla przyjęcia króla, jak była ustrojona położyła się na łóżku, sparta na białej ręce, i niema a gniewna czekała.

Margrabia Karol prowadził bladego Kaźmirza z sobą. Dwór Margarety, który otaczał jej łóżko, odprawiono do przyległej komnaty. Kaźmirz zajął miejsce naprzeciw narzeczonej. Gotowe już były kosztowne dary, które wiozł dla Margarety. Niesiono je za nim. Sześciu młodych chłopaków, dobranych wzrostem i urodą, w kaftanach szkarłatnych, na których piastowskie orły białe były wyszyte, nieśli kute skrzynki z klejnotami, pootwierane już tak, aby wewnątrz nich leżące kosztowności widzieć było można.

Z rąk pierwszego z nich Kaźmirz wziął sam najpiękniejszą skrzynkę i z uśmiechem złożył ją u nóg księżnej. Chłopaki, przyklękając przed nią, z kolei stawiali przyniesione dary.

Wszystko to nie wyglądało tak barbarzyńsko, tak ubogo, jak księżnie opowiadano. Z pewnem zdumieniem, drżąca, nie mówiąc nic, patrzyła na klejnoty.

W istocie były one królowej godne. Z wnętrza skrzynek, wybitych jedwabnemi tkaninami, połyskiwały w ciężkich oprawach, na których wiły się emaliowane ozdoby, ogromne rubiny, szafiry, ametysty, szmaragdy, perły dziwnych kształtów, to białe, to różowo zabarwiane...

Wszystko to jednak zaledwie potrafiło zwrócić roztargnione

księżnej oko. Skłoniła głowę z lekka na znak niemego podziękowania, lecz nie okazała radości, nie odezwała się ani słowem, nie poruszyła ku nim ręki.

Margrabia Karol, dobywszy pas ze skrzynki, rzucił go jej na kolana, żartobliwie twierdząc, iż przepasanie nim uzdrowić ją miało. Klejnot zsunął się z nich i padł z łoskotem na ziemię.

Nie podniósł go nikt.

Każmirz, widząc tak jawną obojętność, rumienił się i blednął.

Margrabiemu zdało się, że najlepszym sposobem zbliżenia narzeczonych będzie zostawienie ich sam na sam z sobą. Usunął się więc w drugi koniec obszernej komnaty ku oknu, z którego ożywione światnym dworem podwórze w świetle majowego poranka widać było.

Po odejściu brata, raz pierwszy oczy Margarety podniosły się na Kaźmirza, trafiły właśnie na chwilę, w której król, dotknięty w swej dumie, siedział zasępiony i groźny.

Oko księżnej, choć nie było łagodnem, zmieniło jednym wejrzeniem jego usposobienie.

Pochylił się, zapytując ją o zdrowie.

Księżna pomyślała nad odpowiedzią, usta się jej poruszyły i wyrazem ostrym odparła.

– Jestem chora, widzicie to sami. Będę chorą – dodała. – Sądzę, że wam potrzebaby innej żony... Ze mną smutek do domu weźmiecie...

– Mam nadzieję, że znajdą się u mnie środki rozproszenia go – rzekł Kaźmirz. – Wszystko, co wam może być przyjemnem...

– Mnie już nic przyjemnem nie jest – sucho przerwała księżna.

– Pozwólcie mi mieć nadzieję, że się to zmieni – rzekł król.

– To się zmienić nie może – odparła Margareta.

Słowom tym odpychające towarzyszyło wejrzenie. Kaźmirz zarumienił się, lecz pozostał panem siebie.

– Być może – odezwał się po chwili – iż mnie i królestwo moje nieprzyjaciele źle wam odmalowali i że ztąd powstał wstręt jakiś do mnie. Przekonacie się, że ludzie kłamią.

Księżna dumnie głową potrząsała, nogą, przy której leżał pas złoty, upadły na ziemię, popchnęła go niecierpliwie.

Zapatrzyła się w okno, umyślnie unikając spotkać króla oczy, które w nią były wlepione.

– Bywaliście na Węgrzech! – odezwała się z wyrazem przekąsu jakiegoś Margareta. – Mówią, że tam są niewiasty piękne bardzo. Dwór królowej Elżbiety obfitować w nie musi?

Kaźmirz zrozumiał przymówkę, ruszył ramionami pogardliwie i usiłował się uśmiechnąć.

– Jednakże – przerwał – piękniejszej nad was nie widziałem w życiu ani na węgierskiem, ni na żadnym dworze.

Królowna odpowiedziała na tę grzeczność bladym uśmiechem szyderskim.

– Miałażbym wam przypominać kogo? – odparła złośliwie.

Kaźmirz, którego twarz za każdym takim pociskiem krew oblewała, starał się zachować spokój.

– Wasza miłość – rzekł – nie macie ani sobie podobnych, ni

sobie równych.

– Od francuzkich trubadurów nauczyliście się grzeczności dla niewiast – odezwała się Margareta. – Wybaczcie mi, lecz sądzę, że królowi lepiejby szczerłość przystała.

Król namarszczył brwi, poruszony był mocno, żal i ból zabrzmiały w głosie jego.

– Pani moja – rzekł – jestem szczerym mówiąc wam, że w was położyłem jedyne szczęścia mojego nadzieje. Litościwsza chciej być dla mnie. Mogę was zapewnić, że nawzajem o wasze szczęście starać się będę życiem całym.

To mówiąc, wstał król, a Margrabia usłyszawszy to poruszenie jego, zbliżył się do rozmawiających.

– Zostawmy Margaretę w spokoju – rzekł, spierając się na poręczy jej krzesła – niech co prędzej stara się siły odzyskać, aby w dzień swej świętej patronki gotową była podać wam rękę... bo król, ojciec nasz, dzień ten naznaczył... Wola jego, dodał z naciskiem, spełnić się musi.

Margareta podniosła oczy na brata, odpowiadając mu tylko wejrzeniem gniewnem.

Król zęgnął ją, żądał ręki. Zawahawszy się podała mu księżna białą, wąską, wychudzoną, zimną, z widocznym przymusem i wstrętem. Zaledwie pocałunek złożył na niej i odwrócił się, spiesźnie otarła ją o suknię. Margrabia Karol dostrzegł to tylko i ramionami poruszył...

Nie dano dnia tego do nocy odpoczynku królowi. Czekał nań król Jan i ucza z trefniami u stołu, potem pochód po

ulicach miasta dla widzenia go, przyjęcie w biskupim dworze, turnieje i gonitwy, wieczorna biesiada i opowiadania o rycerstwie we Francji i Włoszech... Późno już wrócił Kaźmirz do izb mu przeznaczonych.

Tu oprócz dworu i starszyny, którą odprawił zaraz, stał już oczekujący nań Kochan. Pilno było królowi rozmówić się z powiernikiem. Ten nadrabiał wesołą niby twarzą, nie chcąc dać znać po sobie, ile przykrych wiadomości w ciągu dnia tego dostało się do jego uszów.

Między innemi, chytry Pelarz pospieszył do Kochana, pod pozorem swych stosunków z Węgrami i łaskawości, jaką mu okazywała królowa Elżbieta, szukając sposobności pokłonienia się jej bratu. W istocie szło mu o to, by się wywiedziało o usposobieniach, a może sprawił, co mu polecono.

Kochan się w nim cale nie domyślał zdrady. Pelarz wyśmienicie grał rolę gorliwego sługi rodu Kaźmirzowego, przyjaciela i doradcy.

Z cicha począł ubolewać nad Kaźmirzem, który, według niego, wart był lepszego losu, a nie chorej i smutnej wdowy, niechętniej dlań, którą mu narzucano.

– Wasz król najlepiejby zrobił – dodał – gdyby ślub ten odłożyć się starał. Choćby wykupić się od niego przyszło królowi Janowi! Żona ta szczęścia mu nie przyniesie.

Kochan milcząco słuchał.

– Zapóźna to rada – rzekł po namyśle – gdyśmy na wesele przybyli. Wino utoczone wypić potrzeba.

– Ja znam – wtrącił Pelarz – przysłowie, które powiada, że między czarą a ustami, przestrzeń jest wielka.

Długo tak zabawiał i starał się coś z Kochana dobyć, zręczny człek, lecz widząc, że dworak usta ma zamknięte i piersi zapięte, opuścił go, oświadczając się tylko z miłością wielką.

Przez cały dzień tak Kochan z różnych stron napawał się nie bardzo smacznymi wieściami. Ku wieczorowi Zytka oznajmiła mu, że księżna czuła się gorzej.

Przejęta dreszczami nagłemi, musiała się położyć w łóżko.

Na zapytanie więc królewskie, co słyhać, dworak ruszeniem ramion odpowiedział.

Król też znękany był i smutny, a przynieść mu pociechy, nie było zkąd. Kochan począł żywo pleść, że czas wszystko zmienić może i rozpaczać nie trzeba.

– Więc i ty widzisz powody dla którychby można się trapić? – odparł król. – Nieprawdaż? Nie kusić się nam, a raczej mnie!! Przepowiednia tej starej czarownicy na myśl mi powraca.

Zadumany spuścił ręce, zwiesił głowę.

– Nic jeszcze nie ma straconego – rzekł, dodając sobie męztwa. – Byleby raz ślub wziąć, a królowę zawieść do Krakowa, rozproszą się te jej smutki.

– Ale czy nie lepiejby – wtrącił nieśmiało ulubieniec – odłożyć te ślubowiny, nie naglić? Dać jej czas.

Król strzepnął rękami.

– Dzień jest naznaczony – zawołał – stoją przy nim, nieodstąpią od niego. Księżna jest jak anioł piękna, miłuję ją,

musi być moją!!

Wyrwały mu się wyrazy te z taką siłą, iż Kochan zamilknąć musiał.

Nazajutrz ponowiły się turnieje, a księżna była słabą ciągle. Królewski lekarz siedział przy niej. Nie przewidywano jednak nic złego. Zabawy były tem huczniejsze, iż król Jan chciał niemi w początku zatrzeć smutne wrażenie, jakie słabość córki wywierała.

Polski król spokój wielki udawać musiał, ale nie miał go w duszy.

Doniesienia Kochana, który w ciągu dnia umiał, pod pozorami różnemi, zbliżyć się do niego i szepnąć potajemnie słowa, coraz były bardziej zatrwarzające.

Choroba zdawała się rosnąć i stawać groźniejszą. Na dworze jeszcze o tem mówić nie było wolno. Lecz z twarzy Margrabiego Karola i żony jego Bianki widać było frasunek i strapienie, troskliwie tajone.

Następnego dnia Margareta była już prawie bezprzytomną, a lekarz przestraszony zwiastował drżącym głosem królowi, iż środki jego były wyczerpane, że niebezpieczeństwo groziło wielkie, w końcu, iż należało zwrócić się tam z prośbą, gdzie jest wszelka moc i siła, z kąd płynie życie i przychodzi śmierć: do modlitwy, do Boga.

Król Jan, który od utraty wzroku stał się nabożniejszym, niż był w ciągu życia, zadrżał i ręce załamał.

Kazał się wprowadzić do łóża córki, niepoznała go.

Margrabia Karol z twarzą zmienioną przyszedł Kaźmirzowi zwiastować smutną nowinę.

Król, który nie przypuszczał, aby jakiegokolwiek niebezpieczeństwo zagrazać mogło Margarecie, stanął oniemiały z rozpaczy i boleści. Ręce załamał i zakrył wnet twarz niemi.

– Jestem najnieszczęśliwszy z ludzi! – zawołał – O mój Boże! jakże karzesz mnie srogo za grzechy moje!

Napróżno margrabia Karol uspokoić się go starał.

Dnia tego zabawy, igrzyska, gonitwy, wszystko zostało przerwane. Cisza głucha, złowroga zapanowała na dworze.

Biskup Jan z Drażic przybył z Nowego Miasta do króla ofiarując się z całym duchowieństwem czternastodniowym nabożeństwem, z processjami, z wystawieniem relikwii, błagać Boga o odwrócenie ciosu, który królewskiej zagrażał rodzinie.

Rozkazy były już wydane, po wszystkich kościołach odzywały się dzwony; nagle, wesołe wczoraj miasto okryła żałoba. Lud począł się cisnąć do kruzganków kaplic i kościołów.

Duchowieństwo z chorągwiami i krzyżami, długimi sznury, śpiewając pieśni, wyciągało już z Wyszehradu, od Ś. Wita, P. Maryi, Ś. Mikołaja.

Kaźmirz z całym dworem swoim pieszo udał się do zamkowego kościoła, wysławszy znaczną sumę dla zakupienia nabożeństwa.

Trwoga niewysłowiona ogarnęła wszystkich. Przychodziło to nagle, i z wesołości wczorajszej przejście do błagalnych modlitw było tak szybkie, iż wrażenie uczyniło potężne. Ludzie widzieli

w tem znowu jakiś palec boży, karę za grzechy starego ślepcą, który tyle w żywocie swoim nabroił.

Lekarze zwołani najmniejszej już nie czynili nadziei. Gorączka, nie rzucając na chwilę chorej, rosła i wzmagąca się. Nie poznawała ludzi, mówiła, płakała, krzyczała, zrywając się i żaląc, a wspomnienia przeszłości i terażniejszość tak się mieszały w jej głowie, iż mąż umarły, narzeczony, dziecię, historia Amadejówny, obrazy męczeństwa groźnego plątały się w niedokończonych wykrzykach, które służbę żeńską, zgromadzoną przy łożu, niemal też o szaleństwo przyprawiały.

Po takich wybuchach następowało osłabienie, zaniemienie, i życie uchodzić się zdawało, by natychmiast znów powrócić odgłosem boleści.

Wypadek ten, nawet na dworze tak karnym i do ładu wdrożonym, jakim był króla Jana, wywołał nieład i zamieszanie. Ślepy król na przemiany burzył się gniewem, i niemy, sparty na rękach, pograżał się w myślach dręczących. Sumienie wyrzucało mu, iż uporem swym sprowadził chorobę, miał być może przyczyną śmierci córki.

Przy Kaźmirzu jeden teraz margrabia Karol pozostał na straży. Starał się go pocieszać.

Choroba przesilić się mogła.

Modlitwy duchowieństwa, śluby, procesje, relikwie świętych na pomoc wezwane, nie mogły być nadaremne.

W istocie rozkaz biskupa, przykład zakonów, które natychmiast rozpoczęły nieustające błagalne nabożeństwa,

poruszył całą tę ludność, która zbiegła się do miasta dla oglądania wesela, a trafiła na grozę żałoby.

Napełniały się świątynie wszystkie, dzwony biły, szerząc jeszcze niepokój i trwogę.

Gdy około łoża chorej z margrabiną Bianką cały dwór niewieści się skupiał, a na stołach około chorej rozkładano przyniesione z kościołów relikwie, Kaźmierz siedział większą część dnia sam na sam, lub razem z milczącym ojcem bolejąc.

Myśl ta, prześladowająca go, iż straszna przepowiednia ziścić się miała, przejmowała zabobonną niemal trwogą do głębi duszy. Los prześladował go. W uszach brzmiało mściwe, straszne, niezapomniane owe Amadejów nazwisko.

Kochan, który stał na straży, nie śmiał się odzywać, patrzył tylko i czekał. Lecz napróżno. Król nie widział nikogo, tak był zatopiony w sobie.

Wielka radość, nadzieje, z którymi jechał spiesząc tu, wszystko jedna chwila jakaś nieszczęsna zgruchotała.

Niekiedy przybiegali ludzie z lepszymi i pocieszającymi wieściami. Królowna spoczywała, usypiała, choroba obiecywała się przesilić. Naówczas nadzieja wstępowała w serce.

Bóg się zlitował, modlitwy były wysłuchane. Trochę spokoju przynosiło ulgę. Król Jan przysyłał od siebie, przychodził Margrabia, zbiegali się posłańcy.

Wszyscy zdawali się odzywać.

Lecz trwało to krótko; następnych dni wybuchy gorączki wprawdzie ustały, gwałtowność ich się zmniejszyła, osłabienie

jednak wzrastało. Siły się wyczerpywały, lekarze nie wróżyli nic dobrego.

Nabożeństwa nieustawały.

Pomimo, że mu to odradzano i nie bardzo dopuścić chciano odwiedzin chorej Margaretę, aby widok jej tem większego na królu nie zrobił wrażenia, Kaźmirz dopominał się o to jako narzeczony, żądał tak uparcie, tak natarczywie, iż margrabina Biana poprowadziła go z sobą.

W ciemnej z osłoniętymi oknami, niskiej, sklepionej komnacie, którą lampki pałace się przed obrazami i trochę światła przedzierającego się przez opony słabo rozjaśniały, na łożu otoczonem przez kobiety klęczące i stojące do koła, spoczywała blada księżna, której cierpienie wewnętrzne niekiedy gwałtownymi ruchami i zmiany twarzy się zdradzało. Oczy jej to się otwierały i nieruchomie wlepione patrzyły nie widząc, to zamykały, jakby usypiała. Lecz sen ten nie był spoczynkiem. Rzuciała się niespokojnie, białymi rękami konwulsyjnie chwytając okrycia, które kobiety co chwila poprawiać musiały.

Blade jej oblicze było jeszcze tak szlachetnie pięknem jak dawniej, lecz cierpienie nadawało mu wyraz litość obudzający.

Jeden z duchownych dworskich siedział u łoża odmawiając modlitwy, może oczekując na chwilę, w której umysł chorej odzyskałby przytomność.

W cichości zbliżył się Kaźmirz, idący za Bianką, aż do łoża samego. Chora, jakby uczuła przytomność jego, otwarła oczy

szeroko, z ust dobył się słaby głos i gwałtownie odwróciła się na drugą łoża stronę.

Każmirz zbladł.

Stali tak, oczekując jakiejś oznaki pocieszającej. Bianka rozpytywała kobiety, które za całą odpowiedź płakały...

Wkrótce potem stłumiony głos chorej dał się słyszeć. – Wołała jak zdyszana, przerywanymi wyrazy:

– Nie chcę – nie chcę – zdejmcie mi pierścieni – dary odnieście... Tu umrę, nie powiozą mnie... krew... krew...

Na królu czyniło to wrażenie tak silne, iż po chwili ustąpić musiał... Wyszedł stąd oślepy, ogłuszony, z oczyma zamglonemi, z sercem ściśniętem.

Nie mówiąc do nikogo, powłókł się zamknąć w swych izbach...

Wieczorem z orszakiem całym udał się na nabożeństwo do ołtarza ŚŚ. Stanisława i Oswalda w Kościele Ś. Wita. Królewską ofiarę złożył dla duchownych, którzy błagalne litanje odśpiewali.

Nastąpiła noc – noc milcząca, ale bezsenna dla wszystkich na zamku. Król Jan siedział, co chwila posyłając dowiedzieć się o zdrowie córki. Każmirzowi przynosił wieści Kochan. Margrabia Karol przychodził go pocieszać. Po wszystkich kościołach paliły się światła i odprawiały nabożeństwa...

Nazajutrz dzień był Ś. Zofji, piękny, jasny, majowy dzień, słoneczny, lecz o słońca wschodzie uderzyły wszystkie dzwony na Starej i Nowej Pradze, na Wyszehradzie, na Grodzie, uderzyły jękiem żałobnym.

Księżna Margareta – nie żyła.

Do ostatniej chwili przerażony ojciec, zboleły ów narzeczony, mieli jakąś nadzieję cudu.

Gdy straszna wiadomość o śmierci księżnej rozeszła się po zamku, i płacz niewiast, całego dworu, czeladzi, zwiastował ją – król Jan padł na kolana łkając. Syn podnieść musiał ojca...

– Prowadźcie mnie do niego – zawołał przemagając ból – on także, jak ja, ten cios czuć musi...

Prawie razem z wiadomością o zgonie Margarety, ojciec jej i brat weszli do izby, w której Kaźmirz rozpaczał.

Rzucił się on do kolan starca, łkając i rozgorączkowany...

– Ty, – którego ja ojcem mym już zwałem – odezwał się – i którego i teraz ojcem mieć chcę, ty jeden pojmiesz boleść moją.

Nie ma Margarety! a z nią poszły wszystkie nadzieje, całe szczęście moje, cała przyszłość rodu mego!

Sami zboleli i rozłzawieni, stary król, syn jego i Kaźmirz, ściskać się i obejmować zaczęli.

Margrabia ze wszystkich najwięcej zachował spokoju i pomiarkowania w rozpacz. I jemu żal było tego ślicznego kwiatu, ściętego na młodej łodydze, lecz życia wymagania powoływały go. On tu jeden miał przytomność jeszcze...

Stary Jan, ten rycerz nieulekniony, który nieraz na śmierć się narażał z heroiczną odwagą, złamany był – bezsilny. Kaźmirz, w kwiecie wieku, ale już tyle przeżywszy i przecierpiawszy, ugiął się pod tym ciosem, nie tylko stratę narzeczonej, ale wróżbę złą w tem upatrując dla siebie. Mimowolnie przychodziło mu to na

usta...

– Ojczy mój, – wołał, obejmując starca jęczącego, – ojczy mój – uzal się nademną. Niezasłużone jakies przekleństwo wisi nad głową moją – zginać więc muszę ostatni z rodu, a państwo moje pójść w obce ręce...

– Nie – odparł stary Jan, którego syn zmusił usiąść, bojąc się, aby mu sił po bezsenności i cierpieniach nie zabrakło – nie! Nazwałeś mnie ojcem, chciałem ci nim być – dać własną córkę – Bóg moje najlepsze chęci zniweczył, lecz nie wyrzeknę się ani tytułu tego, ani jego obowiązków.

Wtem margrabia Karol wtrącił:

– Bracie mój, bo i ja nie wyrzekam się braterstwa z tobą – daj słusznemu żalowi przeminać... Ja i król, ojciec mój, będziemy się starać wyszukać ci żony... Ożenim cię... zadasz kłam przepowiedniom nierozsądnym i złośliwym... Nie dopuścim tego, aby królestwo twoje...

Stary Jan począł w tej chwili żywo:

– Dobrze mówi – Karol... niech nas ta wspólna boleść połączy, poprzysięgnijmy sobie braterstwo... Ja i Karol wyszukamy ci małżonki.

Kaźmirz chwycił rękę Jana.

– A ja na pamięć tej drogiej zmarłej, której mi nikt nie zastąpi, przysięgam Wam, że z ręki Waszej przyjmę narzeczoną, jaką mi dacie... Ona będzie nowym węzłem między mną a wami...

Tak, przy zaledwie ostygłych zwłokach, już Margrabia Karol rzucił myśl dla polityki swej potrzebną, i mającą związek

pomiędzy Polską a Luksemburczykami utrzymać.

Każmirz przyjął ją ze ślepem zaufaniem, pod ciężarem przepowiedni i trwogi zejścia bezpotomnym.

Córka, którą mu zostawiła Aldona, nie mogła wziąć na skronie korony tej, której obrona męskiej potrzebowała dłoni...

Z równie wielkim żalem, jak przed chwilą radość była – pogrzebowe odbyły się obrządki. Każmirz pozostał, aby zwłoki narzeczonej odprowadzić do grobu królewskiego na Zbrasławiu.

Ponowiono jeszcze po smutnym obrzędzie zapewnienia przymierza i nierozzerwanej przyjaźni, a Jan i Karol zobowiązali się uroczyście wynaleźć dla króla nową narzeczoną – którą on z ich rąk przyjąć miał bez wyboru.

Pożegnanie było uroczyste i najczulsze, lecz orszak polski, który z tryumfem, weselem i wrzawą wjeżdżał do złotej Pragi, wyciągnął z niej rankiem, po cichu, przeprowadzony przez Margrabiego Karola – odziany żałobą i smutny.

Król Każmirz we wszystkich litość obudzał. – Wprawdzie po przemożeniu pierwszego wybuchu rozpacz, odzyskał on męstwo i siłę ducha, lecz głęboki smutek czynił go martwym na wszystko.

Jechał, dając się prowadzić – nie okazując niczem zajęcia – zobojętniały i pogrążony w sobie.

Takim na pierwszym noclegu na czeskiej ziemi – wieczorem, znalazł go ulubiony mu powiernik, ksiądz Suchywilk, Grzymalita, który mu towarzyszył do Pragi.

Był to jeden z najpoważniejszych, najuczeńszych swojego

czasu duchownych, mąż dobrej rady, nieskazitelnego charakteru, a wielkiego przywiązania do Kaźmirza, który mu miłość jego dla siebie zupełnem odplącał zaufaniem.

Jak wuj jego, Arcybiskup Bogorja, tak on kształcił się za granicą, w Bononji, Padwie i Rzymie dokończył nauki, a oprócz suchej ich treści, przywiózł z sobą zdrowe i żywe pojęcie wszystkiego, co własny kraj wymagał.

Wielkiej siły ducha mąż, umiejący prawdę mówić i nie zniżający się nigdy do pochlebstwa – cenionym był przez króla wysoko.

Szanował go Kaźmirz i często mu był posłuszny.

Sama postać jego wrażała uszanowanie i oznaczała męża charakteru energicznego a nieuleknionego. Król po nim miękkiej pociechy innych spodziewać się nie mógł.

Suchywilk, wszedłszy do izby, w której król siedział pogrążony w sobie, a Kochan stał u proga – popatrzył chwilę nań, nim się zbliżył.

Wstydząc się swojego tak jawnie słabość odkrywającego smutku, król powstał, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu. Kochan czuł się tu już niepotrzebnym, i zniknął.

Zostali sami.

Czas jakiś Grzymalita milczał.

– Miłościwy panie – odezwał się, – mierząc króla swem wejrzeniem spokojnem – nie trzeba się tak poddawać boleści, choć jest ona bardzo usprawiedliwioną. Lecz, taka kolej rzeczy ludzkich – takie są losy nasze, nic na ziemi nie ma pewnego. Bóg

doświadcza i próbuje.

Po tej przedmowie Suchywilk począł zwolna.

– Ludziom, co dla siebie żyją, boleć i lubować się w boleściach swych jest wolno – nie wam, nie nam. Kapłani i królowie synami są bożemi. – Mocarze w dłoni trzymają losy państw... Macie, miłość wasza, co czynić. – Kraj cały odłogiem leży, czeka na was... Nie godzi się wam nad własną niedolą łzy wylewać.

Każmirzowi oczy zabłyśły, począł słuchać z uwagą. – Książdz mówił dalej, ożywiając się...

– Miłościwy Panie... pomyślcie o owczarni waszej a ból wasz własny nie da się wam tak uczuć uciskająco i przygnębiająco.

– Ojczy mój – odezwał się Kaźmirz – macie słuszość, lecz są cierpienia nad siły...

– Siły wola wywołuje, a ta od człowieka zależy – rzekł Suchywilk.

– Wnijdźcie w położenie moje... Ta groźba straszna, iż mogę być ostatnim z rodu mojego! – szepnął Kaźmirz. – W chwili, gdy m sądził, iż przeczucia przełamie, gdy m miał nadzieję...

– Ale nadzieja straconą nie jest – rzekł energicznie duchowny. – Przeczucia i przepowiednie są to pokusy szatana. Bóg rzadko objawia przyszłość, a gdy to czyni, dzieje się objawienie jej przez usta poświęcone i wiary godne.

Lecz wy, królu miłościwy – dodał – gdyby nawet, od czego Boże uchwaj, ta jakaś przepowiednia ziścić się miała, możecie po sobie zostawić więcej niż potomka, więcej niż potomstwo – dzieło wasze, pamięć spraw wielkich, dłużej trwającą, niż rody.

Król spojrział nań z ożywieniem i ciekawością.

– Cóż ja uczynić mogę? – zapytał smutnie.

– Tu, u nas, w tej Polsce, ledwie do kupy jako tako orężem ojca waszego sklejoniej? – odparł Suchywilk z mocą wielką. – Pytacie, miłościwy królu, co czynić?

Aliści żywota ludzkiego najdłuższego nie starczy na to, co tu jest do czynienia!

Miłościwy królu, widzieliście to miasto Pragę tak wspaniale się wznoszące, alboż my miast takich mieć nie możemy i nie powinniśmy? Wszystko u nas odłogiem! Cóż to są te zamki nasze, stopy drzewa, jakby na opał przygotowanego? Szkół u nas mało, kraj na pół pusty, ludu mało, ściągnąć go trzeba...

Każmirz słuchał, ozywając się.

– Naostatek, miłościwy panie – dodał kapłan – gdzież u nas prawa są? Inne kraje mają je spisane, u nas każdy sędzia podług jakiegoś starego obyczaju inaczej sądzi... jako sam chce. Jakież to królestwo jedno, gdy w niem zwyczajów tyle, a pisanego prawa lub nie ma, albo je sobie pisarczyki notują dla pamięci, jak się im podoba, a potem te ich mazaniny służą za kodeksa? Alboż i to godzi się, żeby nasze mieszczaństwo, gdy się sądzi, a wyrokom nie rade, do Magdeburga pod cudze panowanie słało z apelacją?

Suchywilk, który równie biegłym teologiem jak prawnikiem był, mówiąc o tym przedmiocie, mimowolnie się zapędził.

Zmiarkował sam prędko, że nie pora była królowi szczegóły te teraz stawić przed oczy, i zwrócił mowę swą inaczej.

– Ojciec wasz wojował – rzekł – wy budować musicie i

gospodarzyć. Alboż to nie boleśnie nam słuchać, gdy obcy, o kraju naszym rozpowiadając, dzikim go zwa, barbarzyńskim, zarosłym, niewytrzebionym, na pół pogańskim? Albo nie wstyd, gdy nam gościńców naszych niebezpieczeństwa i niewygody zarzucają w oczy?

Rzemiosł u nas mało, wszystko u obcych kupować musimy...

Każmirz zdał się zapominać o swej boleści.

– Ojciec mój – przerwał – to ty wiesz najlepiej, bom ci się nieraz spowiadał z myśli moich, że całą żądzą mą i staraniem było i jest na ten cel pokój utrzymać, okupić go, aby lud ubogi się wzmógł, bezpiecznie zasiedlił, wzbogacił! Pragnę tego wszystkiego co wy, lecz jak i czem tak wiele rzeczy razem dokonać możemy?

– Jak? – zawołał Suchywilk – rozpoczynając od najpilniejszego.

Wasza miłość daliście najeżdżanym i pustoszoną ziemiom wytchnienie, to już dobrodziejstwo wielkie. Zważmy, co czynić, i bierzmy się do dzieła.

Król się zadumał.

Widocznym było, że Grzymalita zrećźnie potrafił odwrócić myśl jego od tych dręczących wspomnień, co ją zajmowały. W Każmirzu odezwało się to, co go od młodości obchodziło najżywiej, chęć podźwignięcia kraju i postawienia go na równi z innymi królestwami w Europie.

– Cóż więc najpilniejsze? – zapytał.

Suchywilk spojrział nań.

– Chleb i zamożność da nam pokój – odezwał się – a po nich co najpierwszą wszelkiego kraju potrzebą?

Kaźmirz łatwo mógł w myśl mówiącego trafić, wiedział, co go najżywiej obchodziło zawsze.

– Sprawiedliwość – odparł nieśmiało.

– Tak jest – odparł Suchywilk z radością. – Miłość wasza nieśmiertelną po sobie zostawić możesz spuściznę Polsce. Prawa jej daj!

Kaźmirz powstał odżywiony.

– Dobrze – rzekł – lecz wy mi bądźcie do wielkiego dzieła pomocą. Pocięchą ono dla mnie się stanie...

Zamilkł. Ksiądz przedłużał rozmowę znalazłszy w niej dzielne lekarstwo.

– Prawa pisanego tak jak nie mamy – rzekł – co gdzie jest z ust i tradycyji ludzkich pozbieranego, jedno się drugiego nie trzyma, trzeba to zebrać, zjednoczyć, zlać, aby, jak król jeden jest, i prawo było jedno...

Kaźmirz począł go ścisnąć.

– Pomóż mi – zawołał – pomóż! Trzeba, aby to prawo osłoniło lud biedny, kmiecie wzięło w opiekę. Na to umierającemu ojcu słowom dał, iż bronić go będę...

– Chrystus ten lud, jak nas, krwią przenaświętszą odkupił – dodał kapłan.

Taką rozmową Suchywilk zajął króla do nocy.

Nazajutrz rozpoczął ją znowu. Kaźmirz sam wznawiał chętnie przedmiot ten, do którego serce go ciągnęło i pocziwa chęć

zostawienia po sobie pamięci dobrej.

Tak dojechali do Krakowa. Stolica, do której spodziewał się, wyjeżdżając z niej, powracać szczęśliwy obok młodej małżonki, wznowiła bolesne wspomnienia. Zatrzymać się kazał na drodze, aby przybyć ukradkiem, nocą, wprost na Wawel pusty... do swej sierotki, której matkę obiecał.

Są nieuniknione ciosy.

W bramie miejskiej król podniósł oczy na przemykającego się w przeciwnym kierunku rycerza, który uciekać się zdawał.

Mignęła przed nim blada twarz, kruczemi włosy otoczona, a przed oczyma znowu ukazały się krwawe, poszarpane ciała.

W przemykającym się król poznał – Amadeja!

Na przyjęcie króla nie wyjechał nikt, Kaźmirz zakazał, by go witano. W progu tylko spotkał wiernego swojego Mikołaja Wierzynka, który nisko mu się do kolan pokłonił, nie mówiąc słowa.

Spojrzeli na siebie; wierny sługa z oczów pana wyczytał całe smutne dzieje tej podróży, która żałobnym dzwonów dźwiękiem się skończyła, jak pogrzeb!

Księga druga. Wiaduch

Na Prądniku pod Krakowem siedział naówczas zdawna już tam osiadły kmieć, a było mu na imie Aleksy, ludzie zaś zwali go pospolicie Lekszą i dali, jak to było naówczas zwyczajem, przezwisko Wiaducha. Oznaczało ono, że Leksa ów wiele znał, wiedział wiele i w kaszy się zjeść nie dał.

Kmieć był bardzo zamożny, lecz, jak inni, do szczytu się żadnego nie przyznawał, ziemianinem się nie zwał, owszem, z rodzajem dumy powtarzał, że z pradziadów jest kmieciem.

I nosił się tak, aby nikt omylić się nie mógł, a nie wziął go za kogo innego, niż był. Więc i czapka była pospolitego kroju, i sukmana taka, jaką pospolity lud nosił, i miasto oreża kij z obuszkciem.

Choć ubożsi chłopkowie nizko mu się kłaniali, a niejeden sołtys pozdrawiał go panem bratem, Wiaduch taką naturę miał, że najchętniej z małemi ludźmi przestawał, bronił ich, swojemi zwał, a kto się nad nimi znęcał, tego cierpieć nie mógł.

Postać jego niewiele była obiecująca. Mały, krępy, gruby, twarz miał rysów pospolitych, ogorzałą, pomarszczoną, ale przy brzydocie swej coś rozumnego miał w oczach, tak, że każdy się na tem mógł poznać.

Wiaduch, tak zwany dla tego, że wiele wiedział, nigdy się niczego nie uczył, całą swą mądrość wziął, jak mówił – z lasu, a w istocie z ust ludzi tych, którym ją dziadowie i pradziadowie

przekazali.

Nikt nad niego lepiej nie znał wszystkich starych ziemi zwyczajów, podań, śpiewów i praw, które niepisane, pokolenia podawały pokoleniom.

Zaszłali jaka w tem wątpliwość, jak w dym się do Wiaducha udawano. On rzekł, nie było już o co pytać innych, nikt się nie sprzeczał.

W chacie było dostatnio, ale Leksa pilno strzegł, aby nad chłopską potrzebę nic tu nie weszło. Sama też chata wyglądała tak biednie, iż niktby się po niej rzeczywistego dostatku gospodarza nie domyślił.

Wiaduch powiadał chytrze, że dla pięknych skórek zwierza zabijają, i że kto mądry, ten się z tem, co ma, nie chwali.

Starej swej sukmany połatanej niezrzucał, tylko gdy szło o chwałę Bożą, do kościoła na wielkie święta.

Babę jego, niemłodą już niewiastę, którą sobie dobrał do pary rozumnie, choć imię jej było na chrzcie Marja, a gdy dziewczuchą chodziła Maruchna, że się stała na starość gderliwą, opryskliwą a bardzo zabiegłą gospodynią była, przewzano też Garuśnicą.

Wiaduch ciągle się z nią o coś spierał, kłócili się do spotkania, ale się kochali bardzo, i żyć bez siebie nie mogli.

Starym dwojgu dał Pan Bóg naprzód syna, którego proboszcz, że się jakoś jesienią narodził, ochrzcił Marcinem. Za młodu wabiono go Cinkiem, ludzie, że był hoży, dorodny, bo się jakoś nie wdał w ojca, nazwali go Ciarachem, i przyłgnęło to do niego.

O wiele młodsza córka, śliczne dziewczę, tyle tylko, że nie

bardzo wyrosłe i silne, nad czym matka mocno ubolewała, zwano Bogną, ale, jak to po wsiach się dzieje, a bywało dawniej i po szlacheckich dworach i jej dano imienisko, przydatkowe, Gierki. Znaczyło ono coś, jak jej własne w języku ludu.

Wiaduch, że gospodarstwo miał dosyć znaczne i samby mu z synem nie podołał, choć oba pracowali pilno, od rana do nocy, trzymał parobka, którego sobie podobno był kupił u żyda, ale tak się z nim obchodził, jakby nie był niewolnikiem, choć wówczas niewolnych ludzi, jeńców wojennych i takich, co za dług w niewolę popadli, było po świecie wielu.

Dziwak ten stary przecie powiadał, że jak wół wołu, tak człowiek człowieka kupować nie może. Pomimo to, karmiąc go dobrze, pilnował też ostro i wypoczywać nie dawał.

Miał takie swoje różne na wszystko pogadanki i gdy o robotę szło, powtarzał: – Jeść chcesz? prawda? no to pracować musisz. Jak ci się odechce jeść, spocznieś sobie.

Temi pogadankami słynał Wiaduch, a miał język tak wyprawny, że czy duchownemu, czy kasztelanowi, czy wojewodzie, gotów był powiedzieć toż samo, co chłopowi.

Gdy się go pytano, czy się kogo nie boi – mówił: a juści – Pana Boga!

Nie dziwuje się nikt, że rycerze na wojnie na śmierć idą nie mrużąc oka – to ich sprawa, ale Wiaduch też żadnej śmierci się nie obawiał i żadnego niebezpieczeństwa.

Uchodziło mu to jego zuchwalstwo jakoś, choć kilka razy w dyby go brano i po sądach włączono. Zawsze bez prokuratora

umiał się obronić tym swoim wyprawnym językiem.

Wiaduch siedział na kilku łanach ziemi, która, jak on twierdził, od wieków do jego rodu należała, ale Toporczyk Neorza, który później Sandomirskim wojewodą był, w sąsiedztwie ziemi swoje mający, utrzymywał, że łany te do niego należały, że puszczone były tylko kmieciowi który z nich i płacić był obowiązany, coś tam dawać, i posługi pewne pełnić.

Wszystko to, razem wzięte, i snadź nie tak wiele stanowiło dla Wiaducha, bo choć ziemię miał za swoją, Neorzy coś dawał i do sądu z nim nie szedł.

Tak się to ciągnęło.

Wprawdzie byłby mógł sobie łatwo znaleźć gdzieindziej roli czy wyrobionej czy zarosłej, ileby chciał, z wolą na lat kilka lub kilkanaście, i byłby mógł wyniść ztąd choć gwałtem, ale mu żał było w pocie czoła obrobionego od tak dawna pola, chaty ojcowskiej, do której nawykł, mówił, że stary był, żeby nowego szczęścia próbować, i choć Neorzy nie lubił, nie ruszał się z miejsca.

Z Toporczykiem, dumnym a chciwym panem i z jego Sołtysem i włodarzem, sprawa była nie zawsze łatwa – przecież Wiaduch choć cierpiał nie mało, zawsze jakoś umiał się biedzie wyśliznąć.

Śmiejąc się czasem, obiecywał sobie, iż Neorza, który bardzo zuchwałym był, popadnie kiedy pod klątwę kościelną, a naówczas on się z ziemi jego wyniesie bez sporu.

Toporczyka samego rzadko kmieć widywał, słyszał o nim

wiele, znał go dobrze, lecz unikał spotkania, a urzędników jego umiał sobie jednać.

W ogóle, choć mówił śmiało i ludziom się do zbytku nie kłaniał, zwad i sądów unikał – sędziów nie lubił.

Gospodarstwo było u niego lepsze, niż u innych, dobytku dużo, a że na targu wszystko się łatwo i prędko sprzedawało, choć trzeba było Neorzę zaspokoić, urzędników smarować, dziesięcinę do kościoła oddać, a nieraz i podwodzie obronić, Wiaduch miał się dobrze.

Jak sam wielce zabiegliwy był i pracowity, tak też dzieciom nie dozwalał odpoczywać. Syn musiał z nim ciągle być, a gdy go do miasta posłał, prędko powracać; córka przędła, tkala, szyła i matce pomagała. Nie mógł się skarżyć, bo mu się ich udało oboje. Ciarach był dzielny parobczak, a Bogna choć drobna i dziecinnie wyglądająca, piękna, żwawa, wesoła i pracowita.

Jednego wieczora, gdy właśnie Wiaduch (bo to było na jesieni) powracał z pługiem do chaty, syna mając przy sobie i parobka, a Garuśnica, która była wieczерzę przygotowała, stała w progu, męża za coś strofując – na drodze się ukazał mężczyzna, prędzej młody niż stary, lat nad trzydzieści mieć mogący, który konia kulejącego za sobą za uzdę prowadził.

Ubrany był tak, jak się ziemianie dostatni odziewać zwykli, czysto bardzo i z przyboru widać było, że z łowów powracać musiał.

Zmęczony był, a że koń ledwie na nogę stapał, zatrzymał się we wrotach, przypatrując chacie, jakby miarkował, czy też tu

znajdzie przytułek chwilowy. Stary Wiaduch, Ciarach, parobek Wąż i Garuśnica obrócili się wszyscy ciekawie, mierząc oczyma podróżnego.

Twarz, choć pańska, podobała się Leksie, który, gdy kto w nim na wejście wstręt obudzał, nie spieszył nigdy ku niemu.

– Hej! głodny jestem i zmęczony – odezwał się stojący za płotem – nie dalibyście mi spocząć i zjeść cokolwiek? Zapłacę dobrze...

Wiaduch przybliżył się pozdrawiając go, jak należało, lecz swoim obyczajem bez zbytej uniżoności. A był jakoś wesołej myśli.

– I bez zapłaty – rzekł – człek przecie człeka głodnego od progu nie odpycha. Ale, miłościwy mój, wy, jak to z sukni widać i z twarzy ani w chacie dymnej odpoczywać, ani z glinianej misy drewnianą łyżką jeść nie zwykliście.

– Ho! – rozśmiał się dobrodusznie za płotem stojący. – Głód nie patrzy misy, a zmęczenie strzechy i posłania nie wybiera.

Wiaduch zwrócił się do starej Garuśnicy.

– No – babo – rzekł, abyś wstydu nie miała! jest co jeść dla takiego władyki?

O ile Wiaduch się ze swą zamożnością taił, o tyle stara Garuśnica lubiła się z nią popisywać. A przytem i na przekór czasem staremu coś zrobić rada była.

– Ale, ale – rzekła – nie ogaduj własnej chaty... Ja się nie powstydzę, choćby sam Neorża na wieczerzę się wprosił.

Usłyszawszy Neorży nazwisko, podróżny spytał.

– Neorża! a zkądże go znacie?

– Jak go nie mam znać – odparł Wiaduch – przecież on uparcie się chce moim panem zwać, choć ja w to niewierzę, bom sobie kmieć wolny, ale trudno mu wojnę wydawać.

To mówiąc, stary wrota na podwórko otworzył i podróżny wszedł, kulejącego mocno konia prowadząc za sobą. Wziął go zaraz Ciarach, bo mu żal było bardzo pięknej szkapy, jakiej podobnej w życiu w rękę nie miał, i ujawszy za chorą nogę począł się kopytu przypatrywać.

Po krótkim badaniu zabity w nią cierń ostry zręcznie dobył, bez pomocy żadnego narzędzia i zawołał wesoło.

– Nic mu nie będzie, tylko tłustością zalać trzeba.

Z ciekawością się temu przypatrujący podróżny, zawołał wesoło:

– Bóg zapłać! bo mi koń bardzo miły, a nie radem go był widzieć kaleką.

Szli więc do chaty, Wiaduch go prowadził, ale podróżny ów, jak gdyby po raz pierwszy w życiu na wsi był, szedł bardzo powoli, z niezmiernem zajęciem przypatrując się wszystkiemu.

Stawał, spoglądał a choć nie pytał, widać było, że mu się tu wszystko osobliwem wydawało.

Chata Wiaducha, tak jak on sam, nie odznaczała się niczem od pospolitych chizyn kmieciów, chyba tem, że w niej sprzęt zwykły był czysty, mocno i porządnie zrobiony, nie zszarzony i cały. Jak we dworach, ławy były do koła, stół w jednym rogu świetlicy, ognisko w drugim. Podłogę zastępowało klepisko

dobrze ubite i twarde. U drzwi, jak wszędzie, stało wiadro ze świeżą wodą i czerpakiem, na policach garncarskie naczynia, dalej łyżki i dzbanki a kubki drewniane, czerwono zdobione, smołą wylewane. Na stole widać było bochenek chleba świeżego dobrze nadkrojony, nóż przy nim i sól szarą w drobnych grudkach, bo tę lud naówczas, jak dziś, za lepszą i oszczędniejszą uważał.

Nie było w tej porze gotowego nic jeszcze, ale ogień się palił, garnki stały przy nim dokoła. Garusznica wprost do nich poszła. Miała jaja, była słonina, mleko zsiadłe, śmietana, był miód w plastrze, i chleb niecierstwy. Mieli i piwo niekwaśne, czegoś głodnemu podróżnemu więcej mogło być potrzeba?

Wszedłszy do izby, znowu się dokoła obracając rozpatrywał, a Wiaduch nie spuszczał go z oka. Nareszcie, gdy obejrzawszy się siadł na ławie, gospodarz też, wprawdzie opodał, usadowił się także. Mówiliśmy już, że dnia tego był dosyć wesół, i język zawsze ochotny do obracania się w ustach, usposobienie miał nie próżnować.

Jak podróżny chacie, tak Wiaduch jemu pilno się przyglądał, rad był wiedzieć, co za jednego miał w gościnie. Dostatek na nim widać było – ziemianina się mógł domyślać, ale i mieszczaństwo niektóre też się z pańska nosiło.

Podróżny skinąwszy głową gospodarzowi z uśmiechem, dosyć niezgrabnie wziął się do ukrojenia sobie kawałka chleba, posypał go solą i począł jeść chciwie.

Wiaduchowi zdawało się, gdy krajał, jakby to pierwszy raz

czynił w życiu, tak był niezgrabny.

– Nie rozkazując wam – jeżeli łaska – rzekł grzecznie gospodarz – zdaleka miłościwy pan?

Gość wskazał w stronę Krakowa.

– Od Krakowa – rzekł.

– Pewnie ziemianin tuteczny? – odparł Wiaduch.

– Nie! głową potrząsając, rzekł zajadający.

Zdziwił się Leksa, pomyślał że pewnie urzędnika jakiegoś chyba ma przed sobą.

– Juści nie mieszczanin... zamruczał... to widać.

– No – rozśmiał się badany, nie jestem ci, prawda, mieszczaninem, ale przecie – od miasta jestem...

Powiedzieć jakoś nie chciał kto był, Wiaduch dał mu pokój. Wiedział, że ziemianinem nie był, to mu starczyło.

– A wam jak się tu dzieje? – zapytał z kolei gość. Dużo ciężarów na sobie macie? Płacicie co Neorzy? – To człek żądny grosza?

– Znacie go – miłościwy – rozśmiał się Wiaduch, ale, który z nich inny! Każdyby rad wziąć, czego sam nie zapracował! I nie dziw, potrzeba im dużo. A z czegoby te szaty mieli piękne, i woźniki, i stroje, i klejnoty, i dobre jądło i napitek zamorski?

Słuchał z ciekawością podróżny, który o chlebie nawet zapominać się zdawał. Usta mu się do uśmiechu składały.

– Jak was mianują? – zapytał.

– Mnie na chrzcie świętym nazwano Leksa, a ludziska niepocziwe ochrzcili Wiaduchem...

Ruszył ramionami – Wiaduch! Niech będzie i Wiaduch!

– Gospodarka dobrze idzie? – badał dalej gość.

– A no – idzie i kuleje – różnie bywa – mówił poufale kmieć.

Pracować trzeba, bo człowiek i na siebie i na dzieci, na grad, na burzę, na złodzieja musi zarobić, na pana Neorzę i na księdza...
Wszyscy żyją z nas...

– Tak ci jest – mój stary – odparł, wysłuchawszy przybyły, ale wy lejecie pot, a drudzy was broniąc, krew wylewają.

Wiaduch się rozśmiał serdecznie.

– No – krew i nasza się leje – rzekł... nie jeden raz... ale jaki tam pan Bóg na świecie porządek ustanowił, my go nie przerobimy. Machnął ręką.

– Przecie chleb macie? – pytał dalej ciekawy podróżny, przypatrując się, jak Garuśnica z dziewczęciem koło ognia i garnków chodziła.

– Bywają i głodne lata – westchnął kmieć. U mnie to tam jeszcze ziarna w zapasie trochę jest, a drudzy na przednowku czasem i trawę gotują, zielska i korę tartą jedzą... a z głodu mrą; który Boga w sercu nie ma, naówczas rozbija.

Rozśmiał się słuchający i dodał butno.

– Nie dziw, bo ziemianie a rycerstwo często i głodu nie znając, rozbija po gościńcach.

Zdawało się to śmiałe powiedzenie dziwić gospodarza, pomyślał w duchu, że juści sam on do rycerstwa należeć nie mógł, kiedy się tak o niem odzywał.

Spojrzał bystro...

– Miłościwy mój – odezwał się poufale, pp. ziemianom się nie dziwować. Wszak ci to z przeproszeniem, i bydle gdy się dobrze naje, bryka a dokazuje. Im ci też tu w tem naszym królestwie nieźle się dzieje...

Po namyśle poprawił się Wiaduch.

– Pono tak i wszędzie na świecie.

– Tak jest – potwierdził gość – w innych ziemiach toż samo, albo i gorzej.

– Nie zawsze to tak bywało – począł Leksa – ojcowie mówią, wszyscy jednacy byli, potem się to popsło... i kmieć, na pół niewolnym został.

– Ależ! – zaprzeczył słuchający – kto wolen był, ten i jest!

Wiaduch głową potrząsał.

– Siłaby o tem mówić – rzekł.

– Mówcie, proszę, rad posłucham – wtrącił, do chleba powracając, siedzący na ławie. – Kmieciowi tak źle u nas nie jest...

Popatrzał mu w oczy Leksa i potrząsnął głową.

– A no – rzekł – tylko że za kmiecia zabitego lada kto gdy zapłaci cztery grzywny winy, a za głowę blizkim sześć, nic mu nie będzie, a za ziemianina musi sześćdziesiąt dać i czasem tego nie starczy...

Kmieciowi, gdy dokuczy Neorża taki, nawet się z ziemi jego wynieść nie może, musi czekać wedle obyczaju, albo na pana kłatwy, albo żeby mu dziewczynie krzywdę wyrządził, lub by za jego długi pokutował... a i tak...

– Przecie sędziów macie? – zarzucił gość.

– Sędziowie albo ziemianie są, lub się ich boją; sprawiedliwości u nich nie znaleźć.

Osądzą źle, jakże tu sędziego naganić? Jeżeli kasztelan przy sądzie był, gronostaje lub łasicę trzeba mu dać za to. Sędzia za każdą sprawę cztery grosze żąda, bo dla niego małej niema.

Woźny przyjdzie z czeladzią swą, bierze woły, suknie, siekiery, motyki... kiedy się czem opłacić nie masz.

Gdy tak Wiaduch rozprawiał, podróżny się przysłuchiwał pilniej coraz.

– A jakazby na to rada była, aby sprawiedliwość się działa każdemu? – zapytał – boć i kmieć ją powinien mieć.

Wiaduch aż z ławy wstał, tak mu się pytanie dziwnem zdało.

Popatrzył na badającego.

– Miłościwy panie – rzekł – jam prosty człek, ale mnie się widzi, że na to rady nie ma. Chodzę ja do kościoła i słucham, co ksiądz rozpowiada; pono na świecie tak bywało i do końca świata zostanie.

Zamyślił się gość, ale wtem Garuśnica z Bogną zaczęły się zwijać około stołu, przynosząc jadło... A choć niewytworne ono było, chłopskie, głodny zabrał się doń śmiejąc, i jakby po raz pierwszy w życiu tych przysmaków kosztował.

Smakowało mu wyśmienicie.

Wiaduch też miskę wzięwszy na kolana, zajadał spuściwszy głowę.

Postawiła Bogna przed gościem dzbanek z piwem i prosty

kubek drewniany, tylko z instynktem kobiecym, chcąc go przyjąć dobrze, dobrała najpiękniejszy. Świeżo był wystrugany, jak toczony, a na jasnym drzewie kraśne obwódki jakby obręcze zakreślały.

Gość nalał sobie, i do zapatrzonego ładnego dziewczęcia kiwnąwszy głową przepił, aż się zarumieniło, twarz zakryło i ku ognisku cofnęło.

Jedli czas jakiś milczący, lecz młody pan, wkrótce przerwaną na nowo począł rozmowę.

– Mówcież mi, proszę – rzekł – o waszym stanie i o dolegliwościach jęgo, dobrze to wiedzieć, aby radzić temu.

Wiaduch ruszył nieznacznie ramionami z niedowierzaniem.

– Wiedzieć jak wiedzieć – rozśmiał się – ale poradzić ani król nie potrafi...

– Ani król? – zdziwiony podchwycił gość – przestając jeść i wlepiając oczy w niego, a to dla czego? przecie siłę ma, wolę ma!

– A no, jeno rycerstwa swe musi oszczędzać, ziemianów nie drażnić, bo on panuje, a oni go trzymają. Za ziemiany i rycerstwem kmiecia nie widać. On stoi na końcu, ostatni.

– Przecie król wszystkim panem jest – sprzeciwił się słuchacz – tak rycerstwu jak kmieciowi.

– Pewnie – rzekł Leksa – ono się tak zwie, ale w rzeczy tylko to prawda, że kmieć wszystkim służy, a nim się nie opiekuje nikt krom pana Boga.

– To się przecież na opiekuna skarżyć nie możecie – zaśmiał się słuchacz.

– Nie skarżym się – zamknął stary, którego rozmowa nie zdawała się bawić...

Zamilkli, pomilczeli. Garuśnica nową miskę przysunęła gościowi... Bogna, wytarłszy fartuchem, podała mu łyżkę drugą za co się jej uśmiechnął tak, że znowu do ognia uciec musiała.

Zadumał się trochę przybyły, nim jeść począł, głodu już pierwszego zbywszy, jakby coś mu na myśli ciążyło.

– Więc nie bardzo sobie życie chwalicie? – zapytał.

– Ani chwale, ni narzekam – rzekł Wiaduch. – Mam ci taką naturę, że wesoło biorę co Bóg zesze, bo gdybym się trapił, sambym sobie szkodził... i tyle.

Znowu ręką zrobił ruch żywy, niby odpędzający.

– Bywacie w Krakowie? – zapytał podróżny.

– Na targu i do kościoła czasem jeżdżę – rzekł Leksa. – Nie ciekawym...

– Przecie jest na co patrzeć?

– A w domu jest co robić! – rzekł Wiaduch.

Podróżny się uśmiechnął.

Po chwili stary kmieć dodał.

– Patrzeć, to prawda, że jest na co, gdy pod pręgierzem stawiają złodziei, a kosterów z mieściska chłuszcząc wyganiają, a no więcej się czem zabawić nie ma...

Do piwa Swidnickiego kmieć się nie dociśnie, firtelnicy nie dopuszczą go nigdzie...

– I na zamku nieraz by się czemu było przypatrzeć – rzekł gość.

– O! na zamek już chyba nam nie iść – śmiał się Wiaduch – tam droga dla panów nie dla sukmany... A po co?

– Po co? – odparł podróżny. – Juści, kiedy by się wam krzywda działa, dla czegożbyście i do króla nie mieli iść? On ci przecie najwyższym sędzią.

Leksa brwi podniósł do góry...

– Boże uchowaj! a jakby król przez nieświadomość osądził źle, naganić go się nie godziłoby, bo za naganę i sobola byłoby mało, a do kogo sprawa? do Boga...

– Nie bardzo więc królowi ufacie? – spytał ciekawie gość.

Pytanie to zdumiało i może nastraszyło kmiecia, zamyślił się, długo zbierał z odpowiedzią.

– Król! król! – począł. – Ma on o czym innem myśleć, nie o nas.

– I o was powinien... – rzekł podróżny.

Wiaduch dziwnie się mu począł przypatrywać, rad był już odgadnąć, z kim miał do czynienia.

– Nie lubicie go? wtrącił gość.

Na to pytanie spoważniała twarz Wiaducha.

– Złego on nam nie zrobił nic – rzekł – myślę, że dobrze by chciał, a no nie może... Nieboszczyka starego Łokcia tośmy znali, młodego, trudno zobaczyć... Tamten dobry był... a i z prostym kmieciem jak z człowiekiem się nieraz rozgadał.

Lekki rumieniec wystąpił na twarz podróżnemu...

– Tamtego – mówił, zbliżając się doń Leksa – myśmy i ratowali nieraz, gdy się opuszczony od rycerstwa po kraju

bląkał... ot tam wedle jaskiń i wężozów! Kmiecie za niego broń brali i krew przelewali... pamiętamy to!!

– I syn jego wam to pewnie będzie pamiętał – odparł, spierając się na rękę, zadumany gość.

Popił piwem trochę, wlepił oczy w Wiaducha, który prawił ciągle.

– W tym starym jakby ojca i brata myśmy czuli. Żył tak jako my, dla rycerstwa był surowy, dla nas dobry... pan Bóg mu to wynagrodził, boć się korony dobił...

Podróżny z ławy wstał, poruszony dziwnie i przejęty... Obejrzał się, wieczór nadchodził.

– Bóg zapłać gospodarzu, Bóg zapłać gosposiu i wam – dodał skinąwszy Bognie.

To mówiąc powoli do kalety sięgnął i zabrzączały w niej grosze.

Wiaduch się namarszczył.

– Krzywdy mi nie czyńcie – rzekł spokojnie – za gościnę nikt nie bierze zapłaty..

– Dla czego? – zapytał podróżny.

– Po starym obyczaju nie godzi się to – przerwał Leksa – chata nie gospoda... Krzywdy nie czyńcie. Kmieć jestem i choć Neorża kłamię, zem jego, byłem i będę wolny...

Począł się uśmiechać, chcąc obrócić to w żart. Gość stał wielce zakłopotany, myślał.

Naostatek z ręki, z palca ściągnął pierścień i skinął na Bognę, która zamiast zbliżyć się, skryła w kącie przestraszona.

– Chciałem choć dziecku waszemu pamiątkę zostawić – odezwał się – niechaj by miała na zrękowiny, gdy za mąż iść będzie...

To mówiąc i nie chcąc dziewczęcia zmuszać, pierścień świecący dużym okiem na stole położył, pokłonił się i szedł na próg, a Wiaduch za nim.

Ciarach pobiegł po konia, który choć nakuliwał nieco, ale napojony i wypoczęty trochę, był daleko raźniejszy. Podróżny dziękował znowu wszystkim do koła, siadł rażno na wierzchowca i za bramę się wydostawszy, dosyć spieszno pojechał, a zarośla go wprędce im zasłoniły.

Gdy Wiaduch do izby powrócił, zastał wszystkich zapatrzonych nad pierścieniem Bogny... Był on z czystego złota, a na przedzie miał jakby sznurem poopasywany kamień czerwony, w którym pod słońce woda się przelewać zdawała.

Nie mogli mu się nadziwić, ani nacieszyć nim, tylko Wiaduch stał mocno zadumany. Napróżno starał się odgadnąć, kto był ten gość, co o sobie nic powiedzieć nie chciał, a przed którym on się tak szczerze wygadywał...

Do duchownego, choć oni naówczas różnie się ubierali, nie był podobnym, na mieszczucha był za wielkim panem, a do rycerstwa się nie przyznawał. Trudno było zaiste odgadnąć. Przytym nie musiał być ubogi, bo podarek, choćby nie złoty był (rozpoznać nie umieli kruszcu) zawsze się droгим im wydawał.

Sama Garuśnica, nie chcąc go Bognie powierzyć, gdy się wszyscy przypatrzyli pierścieniowi, zawinęła go w czystą

szmatkę i poszła zachować do skrzyni.

Na dworze ściemniać się zaczynało.

Ciarach jeszcze około szop i dobytku chodził z Wężem; a Bogna wiaderko świeżej wody niosła do chaty – gdy na drodze zaczęło tętnieć i krzyki, głosy i hukania się ozwały...

Nocą się rzadko trafiało, aby tędy kto przejeżdżał, dla bezpieczeństwa pobiegł Ciarach wrota wielkie drągiem założyć, gdy już około nich stanęli jacyś jezdni, których w ciemności ni twarzy ni odzieży nie było można rozeznąć. Ciarach tylko dopatrzył się, że zbrojni byli, a rozmawiali między sobą hałaśliwie, głośno, niespokojnie, jak gdyby się kłócili...

Jeden z nich klął i nawoływał.

– Sam tu?

Ciarach się odezwał.

– A czego chcecie?

– Jechał kto tą drogą?

– Mało kto tą drogą jeździ – odparł chłopak

– A no – dziś, teraz, niedawno! Nie widzieliście kogo?

Zbliżył się Wiaduch, i zwyczajem wieśniaczym na pytanie odpowiedział drugim:

– A kogóż wam potrzeba?

Rozśmiali się słuchający.

– Ciekaw, bestyja, chłop.

– Pan tędy jechał jaki...

– Był jeden.

– Na jakim koniu?

Ciarach maść im i piękność opisał, i wnet się podniosły krzyki.

– To on! on!

– Jechał tędy, godzina temu albo więcej gdy ruszył dalej; konia miał zranionego w nogę i tu spoczywał, a posilił się, bo i my mu dali na co stało...

– Zdrówże był? nic mu?

– Jako wy wszyscy – rzekł Wiaduch – zdrów jak ryba i dosyć wesoły był... Ino mi nie chciał mówić kto on... a zlitowalibyście się nademną, gdybyście mi jego nazwisko dali...

Wesołe głosy tłumne nie dawały usłyszeć nic.

– Jedźmy, gońmy! poczęto wołać ochoczo.

– E! Szczęśliwy ty chłopie, odezwał się jeden z za płota... nie wiesz kogoś w chacie przyjmował, gdy ci pany wszystkie zazdrościć będą!!

– Kogóż! przerwał Wiaduch...

– Królaś miał, król u ciebie był! krzyknął jeden i nie czekając dłużej, jak prędko przypadli, tak prędej jeszcze dalej pobiegli.

Wiaduch i Ciarach stali w osłupieniu. Kmieć się zamyślił głęboko, ręce zacisnął, czoło namarszczył...

– To się też odemnie nasłuchał! powiedział sobie w duchu.

Tymczasem Ciarach i Bogna biegli do matki wołając, parobek się za głowę trzymał – powstała wrzawa i trwoga...

– Król! król!

– Aby się tylko czego nie rozsierzcił na mnie – powiedział sobie Wiaduch – bo ze mnie ciągnął, com na duszy miał.

A no – wola Boża – co ma być, to będzie.

Poszedł smutny nazad do chaty. Ale tu gdy rozważać zaczęli jak patrzył, co mówił, jak się do Bogny uśmiechał – jak jej pierścień podarował – wszelka trwoga ustąpić musiała i sam kmięć uznał, że król gniewnym być nie mógł.

Rozwahał teraz i on, i wszyscy, jak on do innych ludzi i rycerstwa był podobny, a po niczem w nim królewskości jego odgadnąć nie było można.

Chociaż niespodziane te odwiedziny wielkie nawet na Leksie uczyniły wrażenie, jednakże nazajutrz wstał do dnia swoim zwyczajem i na pole wyszedł...

Ciarach też i Wąż, rozprawiając o wczorajszym przez cały dzień, ani się spostrzegli, jak wieczora doczekali. Ani dnia tego ani następnych nie przyszło nic takiego, coby mogło lub gniew króla, albo jego łaskę im oznajmić.

Powoli więc zacierało się wspomnienie, a w miesiąc potem Wiaduch żartując sobie, opowiadał jak króla poufale, siedząc przy nim na ławie, przyjmował.

Już był uspokojony zupełnie, gdy jednego południa zawrzało przed wrotami aż strach. Wiaduch był na polu, Garuśnica z córką, choć nie bardzo trwożliwa, zapałała się w pustej chacie, i myślała czy się nie wdrapać na wyżki, drabinę wciągając za sobą, bo rycerstwo jakieś zuchwałe, strasznie kłęło i dokazywało, o Wiaducha się upominając.

Baba wyjrzawszy ostrożnie z po za zasuwy, poznała Neorzę.

Sam on był, opasły człek, któremu z konia zleść i na konia się

wdrapać było trudno, czerwona, okrągła twarz paskudna, oczy małe czarne... Siedział na szkapie spastej jak sam i wściekał się...

Wiaducha wołano na gwałt.

Był niedaleko na swoim łanie i posłyszawszy hałas, powoli, z rękami w kieszeniach ukazał się w dziedzińcu. Zobaczywszy i poznawszy Neorzę, zdjął czapkę i pokłonił się, ale go łajanie i gniew wcale nie poruszyło.

Przystąpił blisko.

Neorza rękę, w której bat trzymał, do góry podniósł.

– Tuś mi! – krzyknął, ha! zbójcu! – Będziesz ty na mnie królowi skarżył? – dam ja ci! – Skórę zedrę z ciebie.

– Ja? – zapytał Wiaduch ze zwykłą swą spokojnością szyderską i niecierpliwą gorzej niż zuchwalstwo. Ja?

– A któż?

– Nie wiem, jam na was nie skarżył – rzekł Leksa z wolna. Mówiłem ci z miłością jego, i był u mnie gościem, ale o waszą miłość nie pytał, a jam nie wiedział, kto on jest...

Neorza patrzył nań i pięści ścisnął w kulaki.

– Osyp dałeś? – grzywnę zapłacił? – krzyknął.

– Nie winienem nic – rzekł Wiaduch – patrząc w ziemię.

– Było ci dotąd dobrze na mojej ziemi – zawołał pan – bo ziemia ta moja jest i jak pies łże, kto mówi inaczej – siedziałeś spokojny – teraz dopiero poznasz, jakim ja być umiem!

Boś skarżył na mnie.

Wiaduch popatrzał nań.

– Król na was skarżył przedemną, – odparł obojętnie – nie ja przed nim...

Pan nie odpowiadał nic.

– Czyńcie sobie co chcecie – dodał Leksa – wola wasza.

Neorża miał widać wielką ochotę inaczej się z kmieciem rozprawić – lecz coś go wstrzymywało. Podniósł rękę do góry, pogroził.

– Poznasz ty mnie! – zawołał – poznasz...

I batem z całych sił skropiwszy konia, pobiegł dalej, a dwór i ludzie za nim się puścili.

Wiaduch nałożył czapkę na uszy, ręce powkładał w kieszenie, obejrzał się ku studni, a że na zrębie wiadro stało, poszedł się napić z niego, otarł usta i tak obojętny, jak przyszedł, do swojego pługa powrócił.

Ciarach myślał, że mu co powie.

– Wiu hot! – odezwał się na konie i – orać począł...

W chacie cicho było, ale w dni trzy urzędnik Neorży stóg siana z łąki Wiaducha w biały dzień zabrał do siebie. Na zapytanie odparł, że takie było przykazanie, że trzy miarki żyta miał zaraz przywieść Leksa i pół grzywny zapłacić.

– Za co?

Włodarz powtórzył krótko, że takie było przykazanie.

Nazajutrz dwóch urzędników włodarskich wzięli gwałtem wóz i konie, niewiadomo dokąd i na jak długo. Ciarach, żeby mu chudoby nie zniszczono, siadł tam też i pojechał.

Zaczynało się prześladowanie.

Wiaduch cierpiał, lecz nie syknął, Garuśnica po całych dniach klęła.

– Milczałaabyś babo – rzekł do niej – nie pomoże to nic. Poczekamy mała, a jak się wilczyśko nie nasyci rychło – no – to pociągniemy w świat. Ziemi jest dosyć... Jam ci nie niewolnik, a człek z pradziadów swobodny...

Garuśnicy starą chatę opuścić, było jak życie stracić – płakała...

Wóz z końmi spędzonemi ledwie powrócił, aż wódarz byczka z obory wziął. Takie było przykazanie. – Na polu, w trzodzie owiec, psy jego szkodę zrządziły umyślną, kilka owiec było pokaleczonych. Gdy Wiaduch zagadywał go o to, odpowiadał mu: – Przykazanie mam!

Czekaj – nie koniec! będzie więcej.

Jeden z czeladzi włodarskiej przyszedł potem wieczór, niby z wielkiej przyjaźni podszeptać, żeby Wiaduch z podarkiem do Neorzy pojechał przebłagać, ukorzyć się i o przebaczenie prosić.

Kmieć nic na to nie odpowiedział, zmarszczył się i wkrótce go zbył w ostatku.

– Idź, zkał cię wystali.

Baby rozpaczały, nie lepiej może było i Wiaduchowi – ale on, im go co mocniej bolało, szczelniej usta zaciskał.

Wtem jednego dnia, gdy na południe do chaty przyszedł, słyszy wołanie w dziedzińcu i śmiech wesoły...

Nim się do progu dostał – ujrzał zbliżającego się do chaty króla, który parę psów z sobą wiodąc, konia zostawiwszy u wrót,

wchodził już wołając.

– Zdrów bywaj – gospodarzu!

Wiaduch, jak panu należało, do nóg przypadł.

– Wstawajże, stary – odezwał się król – bądź ze mną tak, jakżeś był pierwszą razą. Na Zamku ja królem jestem, a tu – jam prosty myśliwy...

I siadł na ławie. Psy mu na kolanach głowy ogromne pokładły.

Wiaduch stał milczący.

– Mówcie mi – cóż tam u was? – baby zdrowe? – żyto wschodzi?

Kmieć się zupełnie opamiętał i ochłonął z pierwszego niepokoju.

– Miłościwy królu – rzekł, wyście dobrzy dla ludzi, ale co za wami chodzić, licha warto...

Neorża mnie prześladowa za to, jakobym skarżył przed wami nań. Dalej nie strzymam!

Głos mu zadrżał.

Król oburzył się.

– Niepocziwy człek – zawołał, mówcie co wam uczynił?

Wiaduch począł skargi rozwodzić, ale jak zawsze – chłodno, z pomiarkowaniem, z szyderstwem.

– Do sądu go pozwij – rzekł król.

– W sądzie siedzi albo brat, albo swat – do sądu bez datku nie dostąpię – nie stać mnie nań.

Królowi zapłonęła twarz.

– Spokojny bądź – odezwał się powstając z ławy, ja go

zawezwę jutro na sąd przed się... U mnie on nie wygra sprawy.

Wiaduch podbiegł do Kaźmirza ze złożonemi rękami.

– Królu – panie – krzyknął, a nie czyńcież tego! Neorża mnie potem zje przez zemstę, a ja zawsze do was na skargę chodzić nie będę mógł... Trudno. Wy macie całe królestwo, o którym musicie pamiętać, nie mnie jednego. Nie zawsze czas, nie zawsze wy tutaj... Pojedziecie na Ruś... na Węgry, Bóg wie dokąd w odwiedziny jakie do królów, na łowy. Was nie będzie, a Neorżę ja na karku zawsze będę miał.

– Cóż ja ci uczynić mogę? – zapytał smętnie król na pół przekonany.

Kmieć westchnął, myślał czas jakiś, niby nie śmiejąc powiedzieć, co mu się do ust cisnęło.

– Mów! – dodał król żywo...

– Nic wy dla mnie uczynić nie możecie – z cicha odparł Wiaduch, a nietylko dla mnie, jak i dla nas wszystkich kmieci, ile nas jest. Panów ziemian jeden król nie upilnuje, ani strzyma... Wy widzieć i wiedzieć nie możecie, co się z nami dzieje. Spytacie, powiedzą wam, że spełnili rozkaz, a nas będą dusili, jak duszą...

E! – dodał, ja z Neorżą moim powoli sobie radę dam.. jam nie wieczny, ani on...

Posmutniał król.

– Wierz mi – gospodarzu – rzekł, iżbym los wasz poprawić chciał, ale, masz ty słuszość – król bezsilny przeciw nim...

Ha! – dodał szydersko, na to już chyba tę jedną macie radę.

Krzesiwo u pasa, na polu się krzemień znajdzie, w lesie huba rośnie...

Kmieć się uśmiechnął smutnie.

– Tać! – rzekł, nie jeden się tego sposobu chwycił, gdy innego nie było, ale to już chyba ostatni.

Zażądał król mleka.

Zasłali mu ręcznik czysty, przynieśli chleb świeży, na ławie siadł. Dwór miał rozkaz, aby na pana za wrotami czekał.

Gospodarstwo oboje pyszni tem, że pana przyjmowali, krzatali się, aby ugościć... Garuśnica nawet psom mleka postawiła na misie u pieca...

Król tymczasem rozpytywał starego o gospodarstwo, o życie, o zarobek, o ciężary...

Ośmielający się coraz bardziej stary Leksa, tak w końcu poufale i swobodnie odpowiadał, jakby z prostym człowiekiem rozmawiał. Daleko mniej strasznym mu był król od Neorzy.

Znowu tedy nazwisko to się nawinęło na usta kmieciowi.

– A toś się powinien pocieszyć, mój stary – rzekł król do niego, bo nie ciebie jednego odziera Neorża, próbował i mnie.

– Miłościwy panie! a jakżeby się on ważył! zawołał kmieć.

– Jak? tak jako na ciebie – rozśmiał się Kaźmirz. Masz wiedzieć, że w Wieliczce przy soli konie moje żupnicy utrzymywać mają powinność... Dobrze się tam szkapom dzieje... Neorzy się też zachciało swoich tam parę dać, aby mu je żywiono darmo... Trukla i Lewko, gdy je przyprowadzono, nie śmieli odpędzić... jadły więc moje obroki i spasty się...

Wiaduch głową pokręcał.

– Alem dobrze skarcił tego śmiałka – dodał Kaźmirz, i zakazałem, aby mi się na oczy nie pokazywał...

– Ot, czego mu się zachciało! rozśmiał się gospodarz...

– Widzicie więc – dokończył Kaźmirz, żem ja od was nie lepszy – i mnie drą. A nie jeden Neorża, ale i drugich wielu...

Trudno mi wszystko widzieć i być wszędzie...

Tak się dalej przeciągnęła rozmowa, bo król o stan kmieci rozpytywał pilno. Gdy naostatek zabierał się do odjazdu, Wiaduch za połę sukni go ujął i całując ją szepnął.

– Miłościwy panie – dobrzy dla nas być chcecie, uczynicież to dla mnie, a między Neorżę a mnie nie wkładajcie palca... bo się mścić będzie. Ja sobie z nim poradzę.

– Krzesiwem? spytał Kaźmirz.

– To już na ostatnie danie zostawić muszę – odparł wieśniak... I głową potrząsnął.

Przeprowadził króla aż do wrót.

Tym razem Bogna wcale się nie pokazała, choć Kochan, który z królem był, a o piękności jej słyszał od pana, podglądał, czy nie zobaczy dziewczęcia. Matka z jakąś trwogą przeczucia, skryła ją w komorze, tak, że tylko przez szpary drzwi, mogła się przypatrywać królowi...

Jechali nazad ku Krakowu, Kaźmirz przodem, tuż za nim Kochan, który odwiedzin tych inaczej sobie nie umiał wytłómaczyć, chyba tem, że mu dziewczę ładne w oko wpadło...

Zagadnął więc o to, że Bogny im nie pokazano.

Król się obejrzał nań szydersko.

– Dobrze uczynili – rzekł, bo nie na to ją chowali, aby się zmarnowała. Żalby jej było...

Ziemiańska a mieszcza... nie wiele sobie waży niewieścią pocziwość, ale u kmiecia to rzecz święta, i tykać się nie godzi, co u niego skarbem jedynym.

Kochan się śmiać zaczął po cichu.

– Miłościwy Panie – odezwał się, ziemianie was nie darmo królem chłopów przezywają...

Myślał, że Kaźmirz to weźmie do serca, lecz uśmiech tylko wywołał na usta pańskie.

– Myślisz – Kochan – że ja bym się powstydził królem im być, gdybym mógł? – rzekł. Toć niedola moja, żem ja tu król malowany – wiele pragnę, a mogę mało!!

Westchnął, jechali dalej milczący.



Neorza ów, który w Sandomirskiej ziemi posiadłości miał i w Krakowskim, należał do Toporczyków, to jest do najmożniejszego i jednego z najstarszych rodów w Krakowskim, który się już i po innych ziemiach rozrodził, a wszędzie możliwym był.

Dwór też miał w Krakowie, w którym często przesiadywał.

Królowi w początkach przypodobać się starał, marząc o wielkich dostojnościach i łaskach, a chociaż Kaźmirz,

obdarzony instynktem dobrym do ludzi, pochlebcy zabiegliwego nie lubił, zimno go przyjmował, odpychany, narzucał mu się gwałtem.

Nie rychło dopiero postrzegł, że Kaźmirza ani zmusi, ni podejdzie, i choć Województwo mu dawniej przyobiecano, aby się go zbyć, łask się już więcej nie spodziewał.

Przed ludźmi Neorża nie wydawał się z tym zawodem, mówił wiele o swej przyszłości, lecz do króla ząb miał i nie lubił go.

Nie było im wszystkim zbytnikom w ład, że Kaźmirz porządek chciał zaprowadzić wszędzie, wglądał we wszystko, z chłopami rozmawiał o tem, co im ciążyło, żydów do siebie puszczać kazał ze skargami, żupom i dochodom z nich marnować się nie dawał...

I Neorża i inni na to szemrali mocno, nie takiego króla miećby byli chcieli.

Gdy się wydało przez Lewka, który Wieliczkę trzymał, o owych koniach, narzuconych mu przez Neorżę, a król przepędzić je kazawszy, srodze się pogniewał i winowajcy na Zamek do siebie nie kazał puszczać, wpadł w gniew wielki Neorża...

Takich jak ów niechętnych z różnych powodów, Kaźmirzowi było wielu... Sarkało po cichu duchowieństwo, bo Arcybiskup Bogorja zbyt, według niego, był królowi powolny, ziemianie się skarżyli, że w sądach im nie dawano przewodzić, i pilno strzeżono wymiaru sprawiedliwości.

Nie lubiono i księdza Jana Suchywilka, który był nieustanną radą przy królu, bo ani duchowni, ani rycerstwo z tego surowego

prawnika nie byli radzi.

Z dniem każdym mnożyły się skargi i żale na króla.

Wiedział o nich, czy nie, Kaźmirz? donoszono mu, czy tajono? nie było można poznać, bo po sobie nie okazywał, aby dbał wiele o ludzkie mowy i niechęci. Nie wstrzymało go nigdy nic na drodze, którą sobie wyznaczył.

Do niechętnych królowi liczył się i młody ksiądz Marcin Baryczka, z rodziny, która niegdyś z Węgier przesiedliła się była na Ruś, zrodzony z Grzymalanki, a za granicą wychowany, i z wymowy, surowości obyczajów, nieustraszonego charakteru słynący.

Naówczas jeszcze ks. Baryczka wikarjuszem był tylko, i przy biskupie krakowskim na dworze jego zostawał.

Mało znaczył młody Wikarjusz, lecz mu już naówczas ludzie przepowiadali w kościele dostojęstwa wielkie.

Gdy inni kapłani zawsze po troszę ludźmi się okazywali, o beneficjach, o godnościach, o podnoszeniu się myśleli i stan duchowny dla nich był drogą do ziemskiego celu; u księdza Marcina nic nie ważyło, oprócz co jego powołanie mu nakazywało. W ogień, w wodę, gdzie wołała powinność, zawsze był gotów, i to tak chłodno a cicho, jakby najprostszą rzecz spełniał.

Wszyscy go szanowali, ale mało kto się nie obawiał. Czasem i biskupowi bywał niedogodny, bo ustępstw żadnych nie rozumiał. W sprawie bożej gotów był iść przebojem, nie zważając na nic.

Sama jego powierzchowność budziła trwogę. Żółty,

wychudły, asceta na modlitwach i karceniu ciała, przedwcześnie zestarzały, wzrok miał ostry, przenikający, głos suchy i niemiły, ruchy gwałtowne. Cnota w nim przechodziła w namiętność, nabożeństwo w passję. Na kazalnicy niemal szalony zapał go ożywiał.

Przez Grzymalanę, matkę swą, spokrewnionym był z Neorzą, którego wujem zwał, i widywał go dosyć często.

Dwór Neorzy drewniany i niepokażny stał na Okolu. Siedział w nim odźwierny jeden, baba i dworzanin stary, gdy pana nie było. Kilka izb składały mieszkanie opuszczone, zaniedbane, które przecież jedną izbę większą miało, aby było gdzie ludzi przyjmować.

Chciwy i skąpy Neorza, nie często ich u siebie miewał, i nie bardzo się doń kwapili, bo nie po pańsku przyjmował, choćby go było na to stało. Jadł sam i pił dużo, często, żarłocznie, lecz bez wyboru... Najprostsze potrawy, kwaśne piwo, wszystko mu było dobre... Gdy nikogo w domu nie miał, co dla czeladzi gotowano jadał, nie przebierając, byle mu największą misę zastawiono.

W kilka dni po bytności króla u Wiaducha, gdy konie mu wypędzone z Wieliczki parobek przyprowadził, a dowiedział się, że król gniewny nietylko je wygnąć kazał, ale się na niego odgrażał, i na oczy go do siebie nie kazał puszczać, Neorza wpadł w złość okrutną...

Nie było jej na kim spędzić, a nawet i przed kim się z nią wylać, bo sam się został. Ludzie dowiedziawszy się o głośnej niełasce królewskiej, stronili od niego, jak to zwykle bywa.

Nie znalazł się nikt przez cały dzień aż do wieczora, gdy podsędzia Sandomirski Jaśko, grochem zwany, przywłókł się już o mroku.

Jaśko Groch także do malkontentów należał. Jako prawnik, był to samouk, który mało co nauki przy szkole u P. Marji w Krakowie liznąwszy, naprzód skryptorem był przy sądzie, potem wdrożywszy się w prawo, wyszedł, gdy innego nie było, na Podsęzię.

Im mniej umiał, tem się dumniej z tą odrobiną nosił i cenił do zbytku...

Chytry, chciwy jak Neorża, biedny przytem, sływał z tego Jaśko Groch, że najlepiej w sądzie z win, groszy i różnych opłat korzystać umiał. Ludzie się nań skarżyli, nie zważał na to.

On też na cały świat stękał, a szczególnie na to, iż tak małym był dotąd, gdy się czuł najwyższych miejsc godnym.

Neorża zobaczywszy w progu długiego tego i jak kij wyprostowanego Grocha, natychmiast wybuchnął.

– Wiesz! wiesz! – począł wołać niewyraźnie i bełkocząc, bo język miał tłusty. – Wiesz ty! czegośmy to doczekali? Króla chłopów! a tak! Dla nich on jak ojciec rodzony, dla nas, ziemian starych, kat, tyran...

– Patrzajże, dodał, mnie, ziemianinowi staremu, Toporowi, mizernych parę koni nie wolno było żydowi łotrowi na wypas dać w Wieliczce! Kazał natychmiast szkapy... precz!.. He? co mówisz na to?

Czekał na odpowiedź, lecz Groch tylko gębą wywracał.

– Do mojego kmiecia, tego obwiesia Wiaducha, jeździ król w goście... a mnie na zamek nie puszczają? Rozumiesz ty to?

Groch się zebrał na krótką odpowiedź.

– Tak u nas wszystko...

– Co on to sobie myśli, ten król? – zawrzał Neorża – że z nami, rycerstwem i ziemiany, jak z niewolnikami będzie postępował...

Przechadzając się po izbie, sapał mocno Neorża... Groch tymczasem rozglądał się po pustce. Nie był on tak chciwym jadła i napoju jak gospodarz domu, ale – rad jednak bywał przyjęciu, bo go od zapłaty za strawę i napitek uwalniało.

Neorżę też gniew wewnątrz palił... klasnął i odartemu parobczakowi piwa kazał utoczyć. Przyniesiono cynowy dzban i kubki gliniane. Siedli do cienkusza. Neorża sapał, Groch stękał.

Tamtemu ciągle jedno na usta wracało – konie wypędzone z Wieliczki...

Podsędzia dzielił jego oburzenie.

Po drugim kubku cicho począł:

– Pewnie, że się wam krzywdą stała... Wasze konie króla by nie objadły, ale to jeszcze nic... Gorsze się zwiastują rzeczy. Kamień na kamieniu nie zostanie.

– He? – spytał Neorża zdumiony – gdzie?

– Jak te ziemie długie i szerokie, oni tu wszystko poprzerałają...

– Kto?

– A no, Suchywilk i król – odparł cicho Groch, który i skarżyć się chciał, i podsłuchanym się być obawiał.

Neorża zdumiał się mocno.

– Co? co? gadaj! wyjąknął pochylając się ku niemu.

– Nic nie wiecie?

Gospodarz ramionami ruszył i kubek wychylił.

– Suchywilk gdzieś za górami nauczył się takich rzeczy, które na naszej ziemi nigdy nie rosły. Chce nam tu sadzić winnice, kiedy u nas proste drzewa marzną. Prawo! prawo, słyszę, dali wszędy spisywać... i co były różne obyczaje w ziemiach różnych od wiek wieków, chcą wszędzie jedne zaprowadzić, jak z igły nowe...

Neorży od słuchania oczy rosły, nie dobrze rozumiał.

– Co? co? – bąkał po cichu.

– Teraz my, sędziowie – ciągnął w piersi się palcem uderzając Groch – my, widzimy, słuchamy, ważymy i sędzimy według sumienia... otóż nie! to się im nie podoba... każą nam sędzić wedle jednego prawa pisanego!

Rozśmiał się szydersko.

– Ale to nie może być! – zawołał Neorża oburzony...

– A król tego chce, bo mu Suchywilk nagadał, że tak jest gdzieindziej na świecie...

Smiał się gorzko Podsędzia.

– Hej! hej! – dodał – pilnujcie się panowie ziemianie! pilnujcie! Co dziś na nas sędziów przyszło, jutro na was. Stary obyczaj wszystek rzuca pod nogi i podepczą, a po swojemu wystroją to królestwo na węgierski czy na czeski sposób...

Neorża zamilkł z grozy i oburzenia.

– Mało, że nas, sędziów, zgniecie i niewolnikami prawa zrobi – mówił Groch. – Słysząc ze wszechstron... tylko wywracanie i przerabianie...

Jakie zdrowe były nasze dwory drewniane... he! król wszystko murować każe... a w murze mieszkać, to śmierć! Chce nas wygubić.

Sól nam pan Bóg dał dla wszystkich. Dawniej człeczyna jej za co miał, za to sobie dostał w Wieliczce, teraz... ho! nastąpi rachunki, żydzi karbują każdą miarkę i wpisują do rejestru...

– A moje szkapy precz z Wieliczki! – wyjęknął zbolaty Neorża. – Ot co... ot co!!

Ziemiańskim i rycerstwu – począł bełkotać – król krzyw... oni mu nie w smak... dla chłopów i dla żydów serce ma tylko...

Lewko ten z Wieliczki, co moje konie bestja zdradził, i monetę trzyma, i sól trzyma, i co powie to święte... Mojego kmiecia, zbója chytrego, król po ramieniu klepie... a my... co my?! co my?

– Skończenie świata! – rzekł Groch – patrząc na dno kubka, w którym już nic nie było.

Wtem w progu zjawił się ks. Marcin Baryczka, który pono chwilę tu już stał, nim go postrzeżono...

Groch, który dla duchownych był z niezmiernem poszanowaniem i pokorą, poszedł go w rękę pocałować. Neorża wstał. Zrobiono miejsce. Siadł ks. Baryczka z twarzą chmurną i posępną.

– Słyszę, że się na króla JMci uskarżacie – rzekł, potrząsając

głową.

Neorża się rozkładając, ręce obrzękłe zwrócił ku niemu, z bolesciwym twarzy wyrazem.

– Słyszeliście co się stało z moimi końmi w Wieliczce? he?

O pomstę do Boga to woła.

Zdumiał się ks. Baryczka.

– Miałem parę szkap na wypasie u Lewka – dodał gospodarz – król precz je kazał wygnać.

– A jakież prawo miałeś je tam trzymać? – zapytał Baryczka.

– Prawo? – z oburzeniem krzyknął Neorża – takie prawo, że jak wiek wieków tam ludzie tacy jak ja... wypasali i po dwa, i po cztery... Żydaby licho przez to nie wzięło ani króla też.

Ks. Baryczka głową pokręcił.

– Mało tego – podchwycił gospodarz – Posłuchajcie co Groch prawi. Włosy powstają na głowie.

Ksiądz się zwrócił ku podsędziemu.

– Strach! – rzekł Groch – prawo słyszę nowe piszą.

Uśmiechnął się Baryczka.

Groch począł narzekać długo i z coraz większym zapałem, lecz na duchownym wrażenia nie uczynił. Słuchał go obojętny.

– To jeszcze nie jest najgorszym z tego, co czyni król – odezwał się surowo...

Oba słuchacze zamilkli. Ksiądz smutne przybrał oblicze.

– Potomka mieć chciał, nie było w tem nic złego, żenił się z tą Czeszką, która mu umarła... Palec był Boży! Zaraz po niej król Jan i syn jego wyswatali mu Adelajdę Heską... Długoż z nią

zył? a co się teraz dzieje?

Groch głową trząsał.

– Ta niemkini, która mu i dwu tysięcy kop posagu nie przyniosła, a w dodatku szpetna...

– Żenił się z nią przecie – przerwał ksiądz...

– Widziałem ja ją – mruknął Neorża – a choć króla nie lubię, ale go nie winię. Brzydka bo baba, a po naszymu słowa nie umie i mówią, że na umyśle słaba.

– Przecie żona! – dodał Baryczka.

– Za tą się nie macie co tak ujmować – rzekł Groch – krzywda się jej nie dzieje. Królowi wstręt czyniła, posadzili ją na zamku w Żarnowcu, i żyje sobie jak królowa, tyle tylko, że męża nie widzi...

Ale... szpetna bardzo!..

Groch głową kręcił.

– Nie mógł z nią żyć – rzekł Baryczka – choć po bożemu należało się to, bo człowiek nie do rozkoszy się rodził... oddalił ją... niechby i tak było... ale na cóż sobie innych szuka... i zgorzenie ludziom daje?

Słowa te, które dobitnie i surowo wyrzekł ks. Baryczka, nie znalazły jakoś oddźwięku i potwierdzenia w słuchaczach, tak samo, jak utyskiwania na nowe prawa u niego.

Neorża i Groch spuścili oczy. Nie byli i oni bez grzechu, a w owych czasach, gdy ludzkie namiętności wybuchały gwałtowniej, mało kto czystem życiem się mógł pochlubić.

Srogi więc sąd ks. Baryczki przyjęto milczeniem.

– Wina króla – mówił dalej duchowny, iż się daje do złego ciągnąć... ulega chuciom, ale nie mniejsza tych z kapłanów naszych, co z nim obcują, z nim żyją, patrzą na to, a nie strofują go i nie karzą.

Wie pewnie o zbytkach tych Pasterz nasz Gnieźnieński, bo przy królu często bywa, wie ks. Suchywilk, co ze dworca pańskiego nie wychodzi, wiedzą kapelanowie... a milczą.

Milczeli słuchacze uparcie.

Groch znajdował, że spisywanie praw nowych było grzechem daleko większym, a Neorży się zdawało, że wypędzenie koni jego z Wieliczki, było straszniejszą jeszcze zbrodnią.

– Gdybym ja na dworze był – dodał Baryczka, gdybym ucho jego miał – nie zniósłbym tych miłośnic, o których wszyscy wiedzą, palcami je wytykają.

– W Krakowie bo ich nie ma – szepnął Groch, ręką na różne strony pokazując. – Siedzą pono po królewskich dworach – w Opocznie, w Czehowie, w Krzeczowie...

– Pełno ich wszędy – burząc się ciągle, mówił Baryczka – znajdują się i w naszym mieście...

Mało tego! – krzyknął wreszcie – ludzie prawią o żydówkach!

Groch i Neorża dopiero tę okropność posłyszawszy, załamali ręce z przerażenia.

– Nie może to być – wtrącił Groch...

Neorża milczał... Rozmowa o królu przerwała się, bo pod oknami dworu przesunęła się jakaś postać, a nikt podsłuchanym być nie życzył.

Jeden mężny ks. Baryczka, to co mówił, gotów był powtórzyć zawsze i wszędzie.

Gospodarz podniósł się, oczekując na przybywającego, co się przed chwilą przemknął.

Drzwi otwały się z wolna, i na progu ukazał się, znany dobrze Neorzy, jeden z Jaksów miechowskich.

Była to, jak wiadomo, jedna z najzamożniejszych rodzin przed wiekiem, część jej dotąd majątności zachowała, druga, która wiele bardzo świadczyła zakonom, zubożała była, i właśnie jakoś pod te czasy ten sam Mikuła, który stał w progu, z majątności niegdyś zapisanych opactwu Jędrzejowskiemu, z których sobie dziadowie jego serca bydłące wymówili na znak posiadania, odprzedał je opatowi za grzywien trzydzieści...

Neorza córkę miał jedną, mówiono, że Mikuła starać się był rad o nią. Ale... Jaksa do dworu króla należał, krzywo nań patrzano. Gdy wszedł, zamilkli.

Choć zubożenie znać było na młodym Gryfie, ale i ród szlachezny z twarzy poznał każdy. Postawę i rysy miał piękne, rycerskie, może dla mężczyzny zanadto słodczy i wdzięku.

Coś pańskiego wiało od niego, choć odziany był skromnie bardzo...

Neorza go zimno przywitał, odgadywał już, że Jaksa, na dworze króla przebywający, niesie mu pewnie jaką niełaski jego przestrożę. Wolał z nim o tem nie mówić...

Zagadano o rzeczach obojętnych, o nabożeństwach po kościołach, o miejskich posłuchach.

– Jam się przybył pożegnać z wami – ozwał się Jaksa, bo lękam się, ażali nie wyjeżdżacie.

Tak mi się zdało!

Gospodarz ostro nań spojrzął.

– Pewnie, że ja tu robić co nie mam – rzekł, ale też i spieszyć ztąd nie chcę, aby się nie zdało komu, że uciekam od zagniewanego oblicza pańskiego!!

Jaksa spojrzął nań nawzajem, i zamilkł.

– Cóż król? – chmurno zapytał Neorza...

– Na łowach.

– Gniewny? – burknął stary.

– Jam go w gniewie nie widział nigdy prawie – odparł Jaksa.

Na chwilę się uniesie, ale prędko hamować umie...

– A na mnie sierdzi się przecie! – wykrzyknął Neorza.

Nie chciał Jaksa odpowiadać wprost, co myślał.

– Ja tam nie wiem – zamruczał, sądzę jednak, że gdy na czas jakiś z oczów mu zejdziecie, a wróćcie potem, nie będzie pamięci o tem, co zaszło.

– Ale ja mu tego nie zapomnę! – zamruczał Neorza.

Ks. Baryczka wstał, wuja żegnając, i wyszedł. Groch pozostał, Jaksa siedział.

Wspomnienie króla na nowo poruszyło Neorzę, chodził i pomrukiwał groźnie.

Chociaż o Jaksie wiedział, że przy królu stał, nie powstrzymał języka, sądząc, że gdy się o dziewczkę jego starał, potakiwać mu musi.

– Nie takiego nam tu króla było potrzeba – rzekł, to dla chłopów król, nie dla nas... On ziemian nie chce znać, ani miłować, my go też nie miłujemy.

Zarumienił się Jaksa i rzekł żywo:

– Darujcie – my co przy nim jesteśmy, kochamy go.

– A no! – na zdrowie! – szydersko rzekł Neorża. Twarz mu się krwią cała zalała.

Jaksa wstrzymać się nie mógł, powstał z ławy.

– Tak – dodał, my, co mu służemy, miłować go musimy, bo dobry, i sprawiedliwy, i dobrze pragnący pan jest, a nieszczęśliwy.

– On! – mruknął Neorża – on! a co mu jest? Skarb, co za starego stał próżny, u niego pełen; dwadzieścia tysięcy grzywien wyliczyć niemcowi, to u niego nic; klejnotów i sreber jak lodu... Cóż mu brak?

– Miły panie – począł Jaksa łagodnie. – Nie wiem, czy to szczęście daje... Potomka nie ma.

– Czemuż z żoną nie żyje?

Jaksa zmilczał.

Neorża małym przeciwieństwem zniecierpliwiony, już na przyszłego zięcia i patrzeć nie chciał.

Dumny Gryf, poznawszy się na tem, mało co się skłoniwszy, wyszedł. Wzrokiem za nim pociągnął Neorża i siadł za stół przy Grochu, którego pewnym był, iż z nim jedno myśli.

– Jak ci się zda? sędzio – odezwał się po cichu. – Mamy my jego cierpieć?

– Kogo? – zapytał trochę zdziwiony gość.

– A, króla! – mówił Neorża. – Dawniej przecież ziemianie sobie królów wybierali, a jak im byli krzywi, zrzucali ich.

– Ależ to koronowany król! – szepnęła Groch nieśmiało.

– E! e! – odparł gospodarz, ręką machając – co nam tam jego korona!! Tu w krakowskim, ja wiem, że my mu nic nie zrobimy, ale trzeba z innego końca zaczynać. W Wielkiej Polsce, w Poznaniu tacy się znajdują, co mogą się ruszyć, bo im to nie po myśli, że koronę im z Gniezna wywieźli, i ze stolicy ich zrobili małe miasteczko.

Tam każdemu wielkorządcy śni się, że jak Pomorzanie, oderwie się i z pod króla wyswobodzi. Tam jedni by może Brandenburgowi radzi, drudzy Szlązakom.

Tam...

Mówiąc, spojrzął na podsędię i przerwał nagle. Groch wprawdzie na króla narzekał, ale tak zuchwałych myśli nie mógł pochwalić. Znacząco się zasepił, a Neorża postrzegł, że się niepotrzebnie przed nim wypaplał. Naprawiając ten błąd, począł się uśmiechać zakłopotany.

– At, plotę – rzekł – at, plotę! Nie mogę bo mu moich szkap przebaczyć. W Wieliczceby się były spasty.

Groch nie dał się zwieść tym zwrotem.

– Niepotrzebnie wy z tym żalem, i takimi tam rzeczami wygadujecie się – zamruczał. – Co tam te Wielkopolany myślą, Bóg ich wie, ale jak Wincz z Szamotuł nie dał rady Łokietkowi, i kajać się musiał, a potem go ziemianie rozsiekali, tak może być

i z temi, co poprobują się teraz przeciw panu ruszać!! jeśli się na to ważyć będą!

Neorża stał zadumany.

– Albo to on taki mocny, jak jego stary ojciec był? – począł uspokojony. – Do wojny nie bardzo sposobny... budowałby tylko i przewracał wszystko. Baby nadto lubi, za stołem rad siaduje, na łowy jeździ, turnieje wyprawuje.

– Otóż wy go nie znacie – rzekł Groch, głową pokręcając. – Wszystko to prawda, a no, bieda, że wołę ma taką żelazną, jak i ojciec, a rozum chytrzejszy, przebiegłość większą.

Neorża patrzył bardzo zdumiony, słuchał, niepewien, co począć z człowiekiem, na którego się usposobieniu nie poznał, ruszał ramionami.

– Jak nam z tem będzie, gdy on wszystko do góry nogami wywróci i zechce przerabiać – mówił Groch – to jeszcze niewiadomo, ale postawi na swem – westchnął sędzia.

– Nam z tem nie będzie dobrze – mówił dalej. – Co naówczas sędzia ma znaczyć!! Pewnie nam i naszego grosza obetnie... bo on więcej dba o kmiecie, o osadniki, o biedny, ciemny lud, niż o nas i o ziemian... Ale co postanowił, toć to... dokaże! Ja go znam! A co wy mówicie o Wielkopolanach... także na tem bardzo polegać nie można. Choćby rycerstwo nie bardzo było chętne, znajdzie zaciężnego żołnierza na Węgrzech, po Niemczech...

Westchnął Groch, zadumał się Neorża.

– Wkrótce i ruskiego ludu będzie miał siła, gdy zechce –

dokończył podsędzia.

Wszystko to, co mówił, podziałało na gospodarza, który zamilkł smutnie.

Trwało milczenie dotychczas, a że piwa nie stało, Groch zamyślał odchodzić.

Rozstali się dosyć zimno.

Neorża popatrzwał za odchodzącym.

– Baję – rzekł do siebie – ziemianie też coś znaczą! Zobaczmy, ja mu za wstyd mój i szkapy moje nie daruję.

Największe dzieło panowania swojego Kaźmirz chciał mieć dokonaniem w Wiślicy, nie dla czego innego, tylko aby niem uczcić pamięć ojca, którego imię z gródkiem tym związane było. Wiślicę on po dwa kroć zdobywał, tu się ukrywał, tu się modlił, ztąd jeszcze ledwie się w siły wzbijając, na dalsze odzyskiwanie posiadłości wyciągał. Drogą była Łokietkowi ta mieścina, bo mu gniazdem i przytułkiem była w ciężkich dniach życia.

Ze myślą tą miłości synowskiej powodowanym był Kaźmirz, nie ulega wątpliwości. Jeden z pierwszych gród ten murami opasywać, i z muru wznosić go począł. Kościół z ciosu stanął na miejscu tego, w którym Władysław modlił się czasu ucisku.

Stary był ten gródek nad Nidą, w widłach rzeki jak wysepka na pagórku rzucony, łąkami otoczony szeroko, na wiosnę wodą oblany. W trzęsawiskach tych, wedle podań odwiecznych, było

królestwo żab, węzów i zmij, tysiącami się tu lęgnących. Stare podanie opowiadało, że gdy tu w kościółku małym na przedmieściu, ksiądz mszę świętą odprawiał, a żabki mu skrzeczeniem okrutnem przeszkadzały, zaklął je w imię Pańskie, i od tej pory dopiero ciszej się sprawować poczęły.

Choć teraz, dzięki Kaźmirzowi, Wiślica nowemi mury świeciła, których jej zacniejsze miasta mogły zazdrościć, stara to była i tak odwieczna osada, że ludzie początku jej nie pamiętali.

Za pogańskich jeszcze czasów na pagórku tym siedzieli ludzie, okopywali się rycerze i działy się tu krwawe historye, o których lud okoliczny dziwy opowiadał. Lecz w najżywszej pamięci było teraz wspomnienie o tym małym bohaterskim króliku Łokciu, tułaczem biednym, który przez pół wieku cudów dokazywał, aż połamana Chrobrego koronę spoił na nowo, i na skroń uznojoną włożył.

Zdawna już po wszystkich ziemiach chodziły wieści, które z przekazem i niechęcią sobie powtarzano, że król chciał ze starych praw ukuć jakieś jedno nowe prawo dla całej Polski, że Suchywilk nad tem pracował, i że do któregoś z miast zwołać miano Małopolan, potem Wielkopolany, i potem prawo to królewskie, spisane, dać wszystkim, aby jego, nie innego słuchano.

Lat kilka się do tego przysposabiano. Ludzie, jak zwykle nowościom, tej sprawie nie byli chętni. Obawiali się innego prawa nad to luźne, słowne, zwyczajowe, które sobie każdy jak chciał wykladał i tłumaczył.

Sędziowie się szczególnie na to krzywili, jako i ten Groch, upatrując w pisanem prawie poniżenie dla siebie.

Nie było też w ówczesnej Polsce pojęcia tego, że zjednoczenie różnych ziem, wedle myśli króla, pod prawem jednym i monetą jedną, pożądanem i siłodajnem być mogło. Każda ziemia broniła zwyczaju swego, przy nim się opierała, i odrębność swą rada była zachować.

Ziemiańskie lękali się, aby to prawo nowe nie zmniejszyło ich władzy nad kmieciem, nie odjęło im tych praw, do jakich od wieków byli nawykli.

Pewna część ludności, na niemieckich prawach osiadła, może też niespokojnie na to prawo nowości zapowiadające spoglądała, obawiając się, aby polski zakon ten ich odrębności nie naruszył.

Słowem, w przededniu zjazdu wiślickiego, które jeszcze inne miały poprzedzić, niepokój w umysłach panował wszędzie.

Nawet duchowieństwo niezupełnie było bezpiecznem. Ów Jan Suchywilk ze Strzelcza, główny doradca króla, prawa jego ręka, której on zawierzył spisanie zakonu, choć sam kapłan i siostrzeniec arcybiskupi, nie bardzo był dobrze przez duchownych widzianym. Zarzucano mu, że się więcej sprawami świeckimi niż kościołem zajmował, że mu na sercu więcej państwo leżało, niż sprawy sług bożych. Obawiano się, aby prawem nowem starych swobód, jakich duchowni używali, nie nadkąsił.

Ruszano się na te zjazdy i na ów wielki wiec czy sejm do Wiślicy z większą ciekawością i niepokojem, niż pociechą.

Niektórzy się odzywali z tem, że swoich prastarych swobód bronić będą, inni nie wiedzieli sami jak postąpią. Lecz kto tylko mógł, a chciał swą powagę utrzymać, do Wiślicy się wybierał.

Kmiecie też gwarzyli o prawie nowem, nie wiele się po niem spodziewając dla siebie, bo mieli przekonanie, iż ziemianie z rycerstwem nawet nad króla są silniejsi; choć wierzyli w to, że Kazimierz o nich tam nie zapomni.

Wiaduch po owej bytności królewskiej, której mu zazdroszczono, o którą go badano wielce, bo o niej wieść się rozniosła, nie rad opowiadać szeroko, przycupnął i powrócił do robót w polu, do gospodarstwa, unikając spotkania się z ludźmi, którzy nań patrzyli dziwnie.

Neorża, który go prześladował w początku, potem już tylko pokory żądał od niego, naostatek nic nie zyskawszy, zostawił go w spokoju. Włodarze, mając widać inne przykazanie od niego, Wiaducha już nie zaczepiali, owszem, byli nań łaskawi. Poszły w niepamięć uczynione szkody, o które kmieć się nie upominał.

Król jakoś w owych czasach do czynienia miał wiele, więc o Wiaduchu zapomniał.

Jeden rok zajęła wyprawa owa ruska, która się opłaciła zdobyczami wielkimi, zajęciem Przemyśla, Halicza, Łucka, Włodzimierza, Sanoka, Lubaczowa, Trębowli, a z niemi mnogich skarbów, wozami całemi do Krakowa ściąganych. Żenił się potem Kazimierz z niemką, którą zaledwie przywiózłszy na zamek, dla szpetoty i obyczajaju obcego musiał od siebie oddalić.

Nieprzełamany ten wstręt, który go dzielił od niej, może przez

siostrę Elżbietę rozbudzony i utrzymywany, bo tej szło o polską koronę dla syna, pozbawiał Kazimierza znowu nadziei potomka płci męskiej.

Potem wydawał król córkę, zaledwie dorosłą, za Bogusława Szczecińskiego w Poznaniu, wyposażywszy ją po monarszemu, dalej na Rusi Daszkowa i jego przyjaciół zdrada, napad tatarski powołał na granicę, i z Czechami po wielkiej owej druźbie przyszło się też ścierać; gdzie Bóg dał zwycięstwo.

Mało Kaźmirz w Krakowie siedział, na Wawelu krótko bawił, i kmieć już nawet stracił nadzieję, aby go widział kiedy.

Kilka tak lat upłynęło. Bogna za mąż wydaną została. Ciarach sobie przywiódł żonę, i już synkiem się cieszył. Wiaduch niewiele przez ten czas postarzawszy, odpoczywać jeszcze nie chciał, ani zdać gospodarstwa. Lecz, rozumny człek, opodał pod lasem dla syna i synowej osobną chatę postawił, aby, jak się po prostu wyrażał, baby się nie jadły z sobą. Garuśnica, choć kochała synowę, ale syna więcej jeszcze, i młodej miała coś zawsze do zarzucenia; lepiej więc było, że nie ciągle razem żyły.

Na Leksie teraz lat upływających mało znać było. Doszedł do tego kresu, którego pracowici i ciągle czynni ludzie nie przechodzą, choćby jak najdłużej żyli. Śmierć potem bierze ich niespodzianie, albo we śnie, lub jak obuchem uderzywszy w głowę.

Wiaduch chodził za pługiem jak dawniej, brał się do cepa, gdy było potrzeba, sił próbował i nie dawał im zastygnąć w sobie... Stał się tylko na starość trochę więcej milczącym, lecz gdy mu

się usta rozwiązały, plótt jak dawniej.

Wczesną bardzo wiosną, bo jeszcze w post jakoś 1347 roku, Wiaduch właśnie sposobił się do posiewów, jakby tylko z ziemi zlazła lodowa i śniegów skorupa. Był w szopie, gdzie z Wężem opatrywał pług, sochę i brony, motyki a inne proste ówczesne gospodarskie narzędzia, gdy usłyszał z podwórza wołanie.

– Hej! gospodarzu...

A potem z proga głos Garuśnicy.

– Gdzież bo się podział mój? Tylko co tu byli. Leksa! bywaj!

Na ten pozew wydobył się z pod szopy kmieć, i spojrzawszy ku wrotom, zobaczył kogoś na koniu stojącego, twarzy dojrzeć nie mogąc.

Na dworze, choć niby blade świeciło słońko, chłodno było, a ów jeździec na głowie miał kaptur, jakich wówczas wiele noszono po całej Europie i u nas... Strojnisie wielcy do końca kaptura dla ozdoby przyszywać kazali nie jeden chwost, ale cały sznur z węzłów grubych i kutasów złożony, a właśnie taki miał na głowie ów przyjezdny...

Dopiero gdy twarz ku kmieciowi zwrócił, Wiaduch poznał w nim króla, choć zmienionego wielce. Nie stracił on był wprawdzie ani piękności rysów dawnej, ani świeżości ich, ale oblewał je smutek jakiś, zatęsknienie za szczęściem, znużenie żywotem. Przybyło mu powagi, ubyło młodości i wesela.

Ten ci to sam pan był łaskawie i po ludzku rozmawiający z kmiecem, jakby z najwyższym urzędnikiem lub rycerzem, ale żal było, spojrzawszy nań, tak mu się zdało ciężać to, co miał na

barkach.

Wiaduch do nóg mu przyszedł pokłonić się.

Król w małym poczcie jechał, sokoły za nim wieziono, szło psów kilka, otaczali go łowcy, u boku stał nieodstępny jego Kochan.

Zdawał się Kaźmirz niepewien, czy z konia zsiędzie, potem coś Kochanowi szepnął, u wrót konia rzucił, i po ramieniu klepiąc starego, zwolna z nim kroczył do chaty.

Garuśnica z wielką pokorą i radością, a z dumą, witała go znowu, serce jej rośło.

Chciała się zaraz, jako troskliwa gospodyni około jadła zakrzętnąć, lecz Kaźmirz dał znak, iż nie będzie nic jadł. Był miód stary, zaczęła się z nim napraszać, król uśmiechając się, przystał, choć mechy nie lubił.

Wiaduch przed nim stał, a Kaźmirz mu się przypatrywał pilno.

– Aniś ty mi nawet przez te lata postarzał – odezwał się do niego.

– Bom już starym był naówczas – odpar Wiaduch wesoło. Prawią u nas ludzie o jednym człeku, co cielaka gdy się narodził, wziął pierwszego dnia na ręce, potem drugiego dnia nosił go, i tak codziennie dźwigając, do tego doszedł, że potem wołu mógł podnieść. Otóż, miłościwy panie – tak jest z pracą naszą. Kiedy się jej nie rzuca, siły nie ubywają, i człek nie słabnie. Niechbym dnia jednego spoczął, nazajutrzby się do mnie starość zakradła.

Rozśmiał się król smutnie.

– Rozumnieś to rzekł – szepnął doń.

– Jam tylko powtórzył, co się po świecie słyszało – odparł kmieć.

– Rad i ja z tej mądrości będę korzystał – dodał Kaźmirz.

Po chwilce, obejrawszy się do koła, począł król, ręką się opierając na stole.

– A wiesz ty stary, co cię czeka? Wiaduch głową pokręcał.

– Otom ja przybył od ciebie posługi żądać...

Kmieć się pokłonił.

– Rozkazujcie – miłościwy panie.

– No, i nie małej – dodał król, ale mi ona potrzebna...

Pomilczawszy chwilę małą, Kaźmirz się odezwał.

– Słyszeliście może, iż do Wiślicy zwołałem ziemian na czwartą postu niedzielę. Będą im tam nowe prawo czytali, a prawo to nie dla jednych ziemian jest, ani dla duchownych, ale dla wszystkiego ludu i kmieci też...

Wiaduch się uśmiechnął niedowierzająco.

– Miłościwy panie – rzekł, ja na to codzień patrzę, gdy obrok koniom zasypuję, a z jednego żłobu wszystkie mają jeść. Żeby człek nie pilnował, starsze i silniejsze wszystkoby zjadły. Tak to i z tym żłobem pono będzie, do którego się nam docisnąć nie dadzą.

– To wasza rzecz – rzekł król uśmiechając się, ja w żłób zasypuję... i póki żyw, też przy tym żłobie stać będę.

Zjadą się ziemianie do Wiślicy, duchowni, rycerstwo i proste panosze... trzeba, aby i kmieć też tam był...

Wiaduch spojrział zdziwiony na króla, nie odpowiadał nic.

– A dopuszczają tam inni? szepnęła po namyśle...

– Powiecie tym, co by was chcieli gnać lub bronić przystępu, że moje przykazanie macie.

Chcę abyście tam byli.

Kmieć potrzeby jakoś nie widział i głową pokręcał.

– Jedź ty – rzekł król, weźmij z sobą zamożnych a poczesnych kilku, bądźcie przy mnie, aby nie rzezono, żem o was zapomniał lub pogardził wami.

Przecież i tak mnie królem chłopów zwa – niech wiedzą, że ja nim chcę być, jak jestem królem ziemianina, i rycerstwa, i wszelkiego ludu, który w królestwie tem żywie...

Rozkazuję więc wam, abyście mi kilku waszych braci do Wiślicy przywiedli. A miałoby was nie stać na to, bo paszy dla koni jeszcze nie będzie, lub ją pod Wiślicą szlacheckie szkapy zjedzą i stratuja, oto macie na drogę.

Król mówiąc to, sięgnął do kalety, w której miał przygotowany mieszek i położył go na stole...

– Do Wiślicy pojedziewa – odezwał się z dumą kmieć – chybabym żyw nie był, ale nie o waszych pieniądzech, miłościwy... Stanie na to ubogich. My tam żyjemy z prosta, prawda, takeśmy się urodzili i do tego nawykli – złota na nas nie widać – miły panie – ale grosz jaki w garnuszkę pod sypanką w komorze się najdzie na czarną godzinę.

– Weźcie to przecie – mnie nie zubożycie – rozśmiał się król, weźcie dla innych, abyście ich mogli wybrać nie

wedle przemożności, a wedle statku i rozumu... i – z Bogiem ostawajcie. Król wstał i kroczył już do drzwi, nalanego miodu ledwie dotknąwszy ustami. Wiaduch wiódł go, schylając się, do drzwi. Odwrócił się ku niemu.

– Pomnijcież – dodał, przed czwartą postu niedzielą, trzeba tam być... jak się patrzy... bo o was pytać będę.

Gdy król wyszedł do swoich, ci się jeszcze wyniesioną im mechą pocieszali, i coprędzej wasy ocierając, do koni przypadli.

Każmirz się już z dworem dobrze od wrót odsadził, a stary kmieć stał jeszcze zadumany, i jak w ziemię wrosły...

Garuśnica aż musiała przyjść, i po ramieniu uderzywszy, rozbudzić.

– Co tobie stary?

Nic nie odpowiadając, Wiaduch wszedł do chaty, gdzie jeszcze worek królewski na stole leżał, siadł na ławie, sparł się i milczący zamyślił.

Baba przed nim z rękami założonemi, wlepiwszy oczy w niego, stała, głową potrząsając.

Leksa nie mógł myśli pozbierać, a na pytania jej długo nie odpowiadał. Nareszcie wstał, przeżegnał się, czapkę poprawił na głowie i westchnął.

– Dziejże się wola Boża i pańska. Jak do Wiślicy to i do Wiślicy...

– Cóż to ci, krzywda, nie cześć? – zapytała Garuśnica

– Milczałaabyś stara, bo nic nie znasz – zawołał Wiaduch. Za taką cześć, człek potem skórą płaci. Z dostatkiem jam się nigdy

nie chwalił, aby go ludzie nie zazdrościli, a tu, wstydu sobie i stanowi swemu uczynić się nie godzi!!

Powzdychał trochę Wiaduch, przeszedł się po izbie, z kubka po królu miodu dopił, pasa mocniej ściągnął, na chodaki popatrzył, ku słońcu wyjrzał, i rzekł do żony.

– Na wieczerzę albo powrócę, albo nie – patrzajcie matko, aby łyżka ciepłej stawy była. Trzeba mi w drogę.

Najlepszą szkapę wybrawszy ze stajni, stary, który się konia jeszcze nie bał, dosiadł jej rażno i pokłusował.

W sąsiedztwie kilku bogatych kmieciów siedziało...

Nie wszyscy oni byli do Wiaducha podobni. Najdostojniejsi z nich do ziemiaństwa się cisnęli i przypytywali a do szczytów się za grosz lub za posługi przyjmować dawali. Tym o stanie kmiecym mówić nie było można, bo choć do niego należeli, już się fałszywemi sześciami świadkami wywiedli na panosze.

Drudzy, radzi byli cicho siedzieć a nie narażać nikomu, gdy tu niewątpliwie przytomnością swą, rycerstwu solą w oku być mieli. Innych jeszcze, dla prostoty ich nie mógł wezwać do towarzystwa Leksa; wybór więc był trudny i głowa go bolała. Małą do zbytku garstką ograniczyć się wstyd mu było.

Wzdychał więc jadąc, iż mu król za ciężkie brzemię na ramiona włożył, lecz zrzucić go już nie mógł.

Czekała Garuśnica, drzemiąc na ławie, do późna napróżno, nazajutrz ani na obiad, ani na połudzień, ani na wieczerzę stary nie wrócił. Nietyle o niego niespokojną była, co gniewna...

Chodziła się poskarżyć do syna, wróciła nazad i nie zastała

swojego, dopiero dnia trzeciego około południa głos jego usłyszała, że Węza wołał, aby konia postawił.

Spojrzała mu zaraz w oczy, aby poznać z czym wracał, miał twarz jasną i uśmiech na ustach. Zażądał jeść, co też było dobrym znakiem.

Nie zwykł się był spowiadać przed żoną z tego, co czynił, nie pytała go, wiedząc, że się potem łacniej wygada, gdy ona ciekawości nie okaże...

Zaczęły się od następnego dnia do podróży wybory...

Pierwszy raz Leksa oba gospodarstwa synowi zdał, sam mając za wiele do czynienia. Co było najlepszego z odzieży, podobywano, a i do Krakowa musiał Leksa, aby lepiej wystąpić. Nie lubił on tego, lecz teraz mówił, że stanowi swemu hańby uczynić nie może...

Musiano też wóz kowany sporządzać, konie do niego dobierać, bo choć kmiecie jechali konno wszyscy, zapasy na drogę prowadzić było potrzeba. Gdzie ludzi wiele, tam czasem i za pieniądz chleba nie dostanie, a w Wiślicy się zjazdu licznego spodziewać było można.

Czas zbiegał szybko bardzo, aż i kmiecie się dowiadywać zaczęli niektórzy, i dzień wyjazdu naznaczono. Co dnia prawie przybywał który po radę jakąś, bo już Lekse jakby za głowę swoją poczytywali.

Nie całym taborem ruszyli z Prądnika, bo inni po drodze się przyłączać mieli. Milcząco Wiaduch żonę pożegnał, zasepiony, synowi przykazując, aby mu gospodarstwa pilnował, chcieli być

cały.

Gromadka kmieci, choć nie zbrojna, bez szczytów, bez szyszaków, wszakże i pokaźną dosyć była, i nie bezbronną całkiem. Na dłuższą podróż miał każdy obuszek, wielu siekierki i toporki, któremi się od złych ludzi obronić było można w potrzebie.

Dobierał towarzyszków sobie przemyślny kmięć, i wedle rozumu, i wedle dostatku, ale też i takich, coby mu lada jaką postawą wstydu nie robili. Chłop w chłopa byli urodziwi, przystojni, silni i barczyści. Część miała powagę starości i siwiznę srebrną, brody do pasa; inni kwitli młodością rumianą. Wszyscy oni czuli to, że nie dla siebie jechali, ale stan kmiecy cały w nich miał oko w oko obok innych się postawić.

Po gościńcach, któremi nad Nidę dążyli, nie było pusto.

Ciągnęli ziemianie zewsząd dworno, szły czeladzie biskupów, poczty wojewodów, jechało znaczniejsze rycerstwo. W owych wiekach, prawie każdego stan z odzieży, z uzbrojenia można było rozpoznać. Synody przepisywały ściśle, jak się duchowieństwo w domu, w kościele i podróży miało odziewać. Mieszczanom nie wolno było ani w jedwabie, ni w klejnoty się stroić, choćby mieli za co, rycerstwo i panoszków uzbrojenie odznaczało, comesowie i barony mieli dwory z sobą, słowem kto spojrział na przejeżdżających gromadnie kmieciów, łącznie poznawał ich, co za jedni byli i że do ziemian nie należeli.

Spotykający ich, nie kryjąc się z tem, głośno się zdumiewali co kmieciów prowadziło do Wiślicy. Niedowierzano nawet, aby

się oni ośmielili tam przybyć. Czasy te, w których się szczyty i osobny stan rycerski nie wyrobił jeszcze odrębnie, gdy pospołu wszyscy do wieców należeli i wszelka starszyzna się na nie zjeżdżała, oddawna zapomniane były. W miarę jak panosze i rycerstwo rosło, upadali na znaczeniu kmiecie, i już im innych praw nad dźwiganie pospolitych ciężarów nie przyznawano.

Pielgrzymka więc ta kmieciów w dosyć znacznej gromadzie – jadących ziemian wprawiała w podziwienie.

Zaczepiano ich, badano, lecz Wiaduch ostróżny, zawczasu swoim zapowiadał, aby w rozhowory żadne się nie wdawali i milcząc pomijali tych, co ich zaczepiać mogą. Pilnowano się też porządku tego.

Leksa nawet, aby zaczepianym nie być i uniknąć badania, omijał gościńce pospolite, a prowadził bocznymi drożynami.

Dojechali tak wreszcie na równinę błotnistą nad Nidą i mury zamkowe, nowy kościół, który Kaźmirz wystawił, okolne ściany grodu, jego baszty i bramy, ukazały się z daleka na pagórku, w widłach rzeki.

Lecz w miarę, jak się zbliżali ku zamkowi i miastu, a tu już na drogach był tłok wielki... mogli zmiarkować łącno, iż nie tylko w Wiślicy samej, ale na przedmieściu Gorysławickiem, ani na Kucharach, miejsca dla siebie znaleźć nie będą mogli.

Roilo się ludem wszystko. Nad zamkiem powiewała królewska chorągiew. Wozy z żywnością biskupów i panów, ciągnęły otoczone czeladzią; spychano się, wymijano, powstawały kłótnie i ludzie rwali do orężów. Musieli więc

kmiecie ostrożnie obmyśleć sobie gdzie stanowisko na uboczu i na niem się osobno obozem położyć, zdała, bo w pobliżu, co było miejsca suchego, już wszędzie namioty rozbite, wozy wkoło stojące, konie i ogniska zajmowały.

Wiosna była bardzo wczesna, zaledwie się poczynająca, na łąkach trawa mało co się wytykała, o zielonej paszy i pomyśleć nie mogli. Lecz o nią też nie bardzo się troszczyli, bo im szło o samych siebie. W środek między ziemian się wcisnąć i niebezpiecznie było i niewygodnie. Stanęli więc na gościńcu przed bramą krakowską, trochę na uboczu, a Wiaduch pojechał na los szczęścia szukać kąta i dostać języka...

Nie przyszło to łatwo i błąkać się było potrzeba... Na drodze którą jechali od Czerwonego Chodcza, od Latanicz i Kobylnik, wszędzie ludu było mnogo i gdzie się kmiiec pokazał, oczyma chodzono za nim, co tu robi?

Na ostatek, w końcu Gorysławickiego przedmieścia najrzał Leksa chatę ni zbyt okazałą, ni nadto biedną, i na wszelki wypadek postanowił zajść do niej. Wyglądała na kmięcą. A było takich pół mieszczan, pół kmieci-rolników około miasteczek dosyć... Swojego brata wszędzie czuje człowiek. Wiaduch zsiadł z konia. Chciał wniść do chaty, lecz spostrzegł że i tu czeladź jakaś rycerska izbę już zajmowała. Trafił jak najgorzej, bo właśnie ludzie Neorzy się tu rozgospodarowywali. Jeden z nich zaraz często widywanego poznał.

– Wiaduch, he? a coś to ty także do Wiślicy zjechał z ziemiany, w gości do króla? począł szydersko człek wojewody,

bo Neorża już Sandomirskim został, choć go król nie lubił.

Stary nie miał ochoty odpowiadać, ale go coś załaskotało od tego szyderstwa.

– Jak widzicie – rzekł, i my w gości!

W dłuższą się nie chcąc wdawać rozmowę, wysunął się. Wyszedł za nim gospodarz chaty, kmieć, człek stateczny, chcąc rozpytać, czego by żądał.

I z tym odrazu się wdać i odkryć mu całkiem Wiaduch wahał. Dopiero wyrozumiawszy go obojętniejszemi słowy powiedział kto był.

– Co mam się z tem kryć? rzekł. Król nam kazał tu być, abyśmy i my posłuchali co się głosić będzie. Jest nas gromadka, nie mawa się gdzie przytulić. Radźcie.

Nie było łatwo dać radę. Błotnista okolica, a jeszcze teraz w części wiosennym wylewem Nidy uszczuplona, ledwie starczyła na tych, co się tu zebrali. Król na zamku gościł z Arcybiskupem Jarosławem Bogorją, z Jangrotem krakowskim mieszcząc się w izbach niewielu i szczupłych. Wojciech Pałuka, poznański biskup, i Maciej Włocławski, przy kościele i plebanii stanęli. Z wojewodów i kasztelanów, ledwie dwóch poufalszych przy królu na zamku jako tako się cisnęli, inni w miasteczku, po dwóch u mieszczan, a nawet bramy miejskie: krakowska, buska, zamkowa ludem były przepełnione; koczowano w rynku i po ulicach.

Nie mieli więc kmiecie kąta dla siebie, i szukać go musieli aż u Brzezin. Tu na nocleg się do chłopów wprosili, postanowiwszy nazajutrz po cichu na zamek iść, bo słyszeli, że tego dnia już, a

była właśnie czwarta postu niedziela, po nabożeństwie wielkiem w kościele, które sam Arcybiskup odprawiać miał, na dziedzińcu zamkowym, gdzie dla króla tron i przy nim też dla Arcybiskupa był przysposobiony, miano prawo głosić nowe.

Tymczasem nasłuchać się mogli, co o niem zawczasu mówiono po kupkach. Nie licząc tego co prosty lud bredził, ziemianie, a nawet duchowni nie kryli się, iż tej nowinie królewskiej wcale nie byli radzi.

– Wie on co robi! wołali jedni – pewnie sobie nie uszczupli władzy, rychlej drugim odejmie, a sobie przysporzy. Rycerstwa swobody powoli zczeszną, będzie tak jak na Rusi, gdzie ziemianie głosu nie mają, jeno kniaziowie. Spodobało mu się to, gdy Ruś zawojował.

Duchowni, którzy już więcej coś o nowem prawie wiedzieli, znajdowali je barbarzyńskiem i nic użytecznem, gdy można było inne cudzoziemskie, albo rzymskie do kraju wprowadzić.

W ich mowie jawiła się niechęć i nieufność, jaką mieli ku Suchywilkowi. Lecz Arcybiskup stał przy królu, a On ci tu był pasterzem najwyższym.

Nie bez tego, by i na niego nie sarkano po cichu. Ks. Suchywilk siostrzanem mu był, znano go jako królowi powolnego, wiedziano, iż raz w potrzebie ze skarbcza gnieźnieńskiego kilka tysięcy grzywien królowi w krzyżach, misach i innych klejnotach dał, za co później z wielickich żup roczny dochód naznaczono, że dobra duchowne z Kazimierzem, dla dogodności jego, na inne mieniał.

Małopolanie, Wielkopolanie, Kujawiacy, a było i Mazurów ciekawych trochę, obawiali się, aby swoich ziemskich posiadłości nie potracili.

Naostatek znana króla skłonność dla chłopków, któremi się rad opiekował, budziła obawę, aby prawo ich nie wyniosło, a ziemian nie osłabiło.

Burzyły się więc umysły, lecz władza króla, choć nie określona prawem żadnem, choć nie mająca oznaczonych granic, była przecież uznawaną i wrażała poszanowanie. Mógł król, jako najwyższy sędzia, każdemu zuchwałemu głowę kazać zdjąć i karać go na gardle. Przeciw niemu wystąpić nie ważył się nikt i nie mógł. Szemrano tylko.

Otoczenie zaś królewskie, nauczone jak mówić miało, powtarzało, co od Suchywilka słyszało wielokroć, iż nowe prawo sprawiedliwość zapewni i wszelkie gwałty i nadużycia pohamuje, że wstyd było dłużej, gdy wszystkie państwa statuta owe miały, aby ich Polsce brakło.

Nazajutrz, jak zapowiedzianem było, zadzwoniono na nabożeństwo, a że znaczniejsza część w kościele się pomieścić nie mogła, stanęło wielu w podwórzu otaczając do koła.

Wszyscy się potem z Arcybiskupem i królem na czele ruszyli ku zamkowi.

Dzień nie bardzo sprzyjał uroczystości, wiatr smagał chłodny, niebo było zakryte. Lecz ani Kaźmirz, który szedł z twarzą zwycięzcy, ni inni nie zważali na to.

Cisnęła się starszyzna strojna do koła pana, którego

dwór występował też w dniu tym z przepychem prawdziwie królewskim, w całym blasku zbroi i sukni szytych, a futrami kosztownymi okładanych.

Sam Kaźmierz odziany był czarno, z łańcuchem na szyi i pasem rycerskim wspaniałym, a płaszcz na ramionach miał szkarłatny, sobolami podbity. Część dworu występowała w purpurowych sukniach, z orły polskimi na piersiach, druga w zbrojach i szyszakach wyłaczanych, na których znamiona widać było, Topory Chusty, Sokoły, Księżyce...

Chociaż tłum się uciszył, gdy król przemówić miał, nikogo nie doszły słowa jego, gwar dolatywał z dala, wiatr szumiał.

Widziano tylko, gdy Suchywilk karty pergaminowe z pieczęcią na sznurze podnosił, gdy Arcybiskup błogosławił, gdy król przemawiał znowu, a oblicze mu pokraśniało, oczy się tak śmiały, jakby najwyższą osiągnął szczęśliwość.

Twarz pańska opowiadała ludowi, iż się dokonało wielkie i wiekopomne dzieło.

Gdy się to wszystko spełniało, Wiaduch ze swemi, ledwie się dostawszy na zamek cudem jakimś, innego sobie miejsca i swoim nie znalazł, jak przy murze, wysoko, na blankach. A choć i tam ciasnota była wielka i niewygoda, miał tę pociechę, iż król, do koła rzucając oczyma jasnymi, postrzegł go i uśmiechnął mu się.

Poszły zaraz innych oczy za temi, i dostrzeżono kmieciów, o których zresztą Neorża już wiedział, rozповідаł, a gniewał się, że tu przybyć śmieli...

Tak się wszystko odbyło dnia tego łatwo, dla tego, że kilka poprzednich, poświęcił król naradom z Comesami i rycerstwem, i rzecz była już postanowiona.

Zastawiono potem stoły i ludzie po troszę rozplýwać się zaczęli, a Wiaduch nie bardzo wiedział co poczynać z sobą, gdy ze dworu królewskiego jeden, który z Kaźmirzem bywał na Prądniku i znał starego, zbliżyli się doń.

– Mam przykazanie od pana, abym was ugościł. Jest dla was stół osobny na podsieniu, chodźcie.

Kmiecie się wahali, obawiali się obudzić zazdrość, lecz posłuchać musieli. Prowadził ich tedy ów Gosław Krojcz, dworzanin do zamku na ubocze. Lecz zdala już postrzegli, gdy im na miejsce dla nich wyznaczone wskazywał, że je jacyś ziemianie samowolnie zajęli.

Chcieli kmiecie odejść, niepozwoilił Gosław. Obok stołu zajętego bezprawnie, kazał na dwóch beczkach stare drzwi położyć, misy i dzbany podawać.

Dopieroż owi panoshowie obok, gdy zobaczyli przy sobie kmieciów, krzyczeć i wywoływać zaczęli na niepomierne zuchwalstwo...

Nie zważano na to, ale, gdy przy tym stole poczęta sprawa kmiecia, poszła zaraz po innych...

Ziemianie cierpieć ich przy sobie nie chcieli. Zaniósło się na burzę groźną...

Wiaduch skinął na swoich że nie pora ją wywoływać było, więc zakosztowawszy ledwie chleba królewskiego i usta w

kubkach umoczywszy, wyszli powoli boczną furtą, którą im Gośław ukazał.

Odejście ich nie zażegnało wielkiego poruszenia w rycerstwie. Widziało kmieci wprzódki wielu, była już mowa o tem, że przybyli, pewnie ze skargami do króla, i oburzenie coraz się zwiększało.

Odgrażali się ziemianie, iż tym których dosięgną i o których się dowiedzą, nie darują.

Chodziła wprawdzie wieść, iż się stawili na żądanie samego króla, lecz wierzyć w to nie chciano...

Wrócili z Wiaduchem wszyscy niezaczepiani do Brzezia...

Tu narada była, co poczynać. Obowiązek stawienia się spełniony został, nie mieli już co robić, znaczniejsza część do domów się wyrwała. Inni chcieli jeszcze kupą do pana iść, dziękować mu. Zdania były podzielone, Wiaduch radził spocząć jeszcze i czekać.

– A no! czekać – odparł stary – którego zwano Stroka, doczekamy jeszcze tego, że nas rycerstwo pokrwawi... Nie ma tu już co poczynać, a i kupy się trzymać nie koniecznie, niechaj każdy swoim rozumem i drogą do domu powraca.

Nad ranem przybył komornik od króla, gdy ledwie wstawali, i kazał im na zamek. Dnia tego cokolwiek się było przerzedziło i po drodze, choć spotykali jadących, którzy się z nich wyśmiewali i zaczepiali, przystęp do grodu był wolny...

Kazano im stać w przedsienu. Król z kilku panami wyszedł do nich z uśmiechem na ustach. Głową skinął Wiaduchowi.

– Chciałem – rzekł na głos – abyście i wy tu byli, gdzie w imię Boże, nowy zakon, albo raczej stare zakony ojców spisane... ogłoszone zostały... Wszystkim one, i wam też służą ku obronie i bezpieczeństwu...

Idźcież w pokoju do domów, do pracy i powiedzcie ludowi wszystkiemu, iż go odtąd nie sędzia będzie karał i sądził... ale jeden zakon dla wszystkich.

Pokłonili się kmiecie, a król, spoglądając na nich, bardzo dobrotliwie uśmiechnął, mówiąc do tych, co go otaczali:

– Ci są, którzy karmią nas, należy im opieka i bezpieczeństwo. Idźcie w pokoju.

Przytomny kapelan królewski pobłogosławił ich po łacinie i odeszli nareszcie wielce uradowani, że się to przecie skończyło.

Nie było już sposobu dłużej ich tu zatrzymać. Kto żyw, konia wyprowadzał, wóz zaprzęgał, aby prędzej z Wiślicy... Nie mówili tego, ale pogrożki i szyderstwa ziemian trwożyły ich niepomału.

Wiaduch, choć był rad mieć kogo za towarzysza podróży, nim się miał czas z kim umówić, sam jeden pozostał. Nie zafrasowało go to wielce, bo miał parobka Węża z wozem i dobrego konia pod siebie. Strachu nie czuł. Wypoczął więc dobrze, i z południa dopiero w drogę wyruszył.

Na gościńcach teraz nie tak było ludno, bo wielu jeszcze pozostało w Wiślicy. Jechał więc Leksa zamyślony, w duchu sobie wszystko to przypominając co go spotkało, co widział i słyszał.

Pomimo obietnic i nadziei wielkich na to prawo nowe, on, stary i doświadczony, zachował swe przekonanie, iż z prawem tak będzie jak i bez prawa, że się nie zmieni nic. Nie wątpił, iż król dobry chciał jak najlepiej, lecz w moc królewską nie wierzył.

– Ziemianie uczynią co zechcą, i – będzie po staremu! – mówił w duchu.

Dnia tego nie wiele ujechawszy, a gospodę i szopę znalazłszy zawczasu Wiaduch zanocował.

Tymczasem na Prądniku stara Garuśnica i syn około gospodarstwa chodząc dnie i godziny liczyli wyglądając Wiaducha.

Baba obrachowywała raz i drugi; wiedziała że w niedzielę w Wiślicy musiał być, że tam nad dzień, dwa nie zabawi, i że do domu potem, dla zbliżających się świąt pośpieszy.

Tymczasem Wiaducha nie było. Wszystkie rachuby zawiodły... Z sąsiedztwa powrócił jeden z kmieci oznajmując, że Leksa lada chwilę powinien już być. Popowracali inni, o Wiaduchu słychu nie było...

Jednej nocy, nie mogąca zasnąć Garuśnica postyszała skrzypiący wóz, jakby się u wrót zatrzymał... Wysłała narzuciwszy okrycie...

W mroku widać było w istocie konie i wóz pod bramą. Na zawołanie jej, głosem słabym odpowiedział ktoś, jakby Wąż... Podbiegła do wrót. On to był, ale milczący, przerażony i sam jeden. Koń Wiaducha do wozu był uwiązany.

Z parobka nic się dowiedzieć nie było można w początku, tak

płakał. Wskazał wreszcie na wysłany i pokryty wóz, na którym trup Wiaducha z głową porąbaną leżał.

W drodze na gościńcu spotkał się z kmieciem Neorzą, który podchmielony był, więc zły i bez pamięci. Ząb miał już do kmiecia, złość do króla. Lżyć go począł, ludziom kazał zatrzymać i zarąbał.

Mścił się za swoje szkapy, z Wieliczki wygnane.

– Za głowę zapłacę! – krzyczał, miecz chowając skrwawiony
– kością mi w gardle stał chłopisko.

Tom II

Księga trzecia. Baryczka

Zimowego dnia 1348 roku, wieczorem, mimo srogiego mrozu i zamieci, która śniegiem miotła, we dworze Neorzy wielka izba pełną była i ciągle ktoś jeszcze nowy, otulony opończą, odziany kożuchem, zakapturzony, przybywał.

Z różnych stron miasta ubocznymi drożynami ściągali się tu ludzie, zdając unikać, by ich nie postrzeżono. Przesuwali się rozglądając, wypatrując, omijając spotkanych, wsuwając w podwórze nieznacznie, wchodząc do dworca nie wprzód, aż się ze służbą w sieniach rozmówili i przez drzwi pół otwarte zajrzeli do wnętrza.

Okna w wielkiej izbie pozasuwane były szczelnie i dla chłodu i dla tego może, aby przez nie światło nie zdradzało zgromadzonych.

Było ich już tu kilkudziesięciu, stojących, kupą w pośrodku i półgłosem wiodących żywą rozmowę, która niekiedy w gwar niezrozumiały się zmieniała.

Gospodarz na przyjęcie tych gości nie wysilił się bardzo; stało piwo i kubki, jakie wówczas w lada kramie kupowano, kilka dzbanków glinianych na pół opróżnionych, resztki chleba i misy, na których oprócz kości okrojonych nic nie było.

Neorża w kożuchu prostym, który ciągle z ramion się zsuwał, a on go nieustannie naciągał na nie, z twarzą czerwoną i nabrzmiąłą, z oczyma zaognionemi, rękami sobie dopomagał, bo mu wymowy brakło.

Otaczający goście poważniej wyglądali i rozumniej im z oczów patrzyło. Nie bardzo też wielką zdawali się przywiązywać wagę do tego, z czym się Neorża odzywał, więcej między sobą się naradzając, niż zwracając ku niemu.

Dla izby ustronnej śnać bardziej niż dla pana jej tu przybyli.

Właśnie może to lekceważenie sprawiało, iż wojewoda natrętnie, uporczywie do rozmowy mięszać się starał, drugim ją przerywał, za ręce chwycił mniej uważnych i po ramionach ich klepał.

Pomiędzy zgromadzonemi wyżółkła, chuda, pełna surowości namiętnej, odznaczała się twarz znanego nam już księdza Marcina Baryczki. Z brwiami ściągniętymi groźnie, z czołem pofałdowanem, jak z kazalnicy przemawiał kapłan, ognistym językiem, natchniony, przejęty, rozgorączkowany.

Słuchano go z ciekawością i poszanowaniem, choć z wyrazów twarzy słuchaczy widać było, że nie wszyscy się zgadzali na to, co mówił, jawnie mu przeczyć nie śmiejąc.

Bełkotanie Neorży przechodziło niesłuchane wśród gwaru i podnoszących się tu i owdzie głosów.

Gospodarz niewiele też miał do powiedzenia, powtarzał tylko pieśń starą, wszystkim już dobrze znaną, urazy swej do króla i chęci pomszczenia się za nią.

– Pomsta to Boża! palec to Boży! – wołał głośno ks. Baryczka. – Miara zgorzenia i nieprawości przepelnioną została, znużyła się cierpliwość Bogu, miłosierdzie ustępuje pomście i sprawiedliwości. Bóg, który dzieci karze za rodziców grzechy... jak w piśmie stoi, królestwo to nasze dotyka plagami okrutnymi za złość i winy tego, który mu panuje!

Nie chcę być sędzią drugich, bom sam grzesznym człowiekiem, ale niejeden król winien, który wodze wszystkiej swej namiętności puszcza, winni drudzy, bo ich karygodne milczenie współnictwem nazwać można...

Komuż przystało skarcić, do opamiętania skłaniać, na dobrą drogę go prowadzić, jeśli nie duchownej starszyźnie, ojcom kościoła, którzy przy tronie stoją?

Kto będzie się śmiał odezwać, jeżeli oni zmilczą?

To mówiąc pierś uderzył pięścią ściśniętą ks. Baryczka.

– Winien, tak, winien Arcybiskup nasz Bogorja, pobłażliwy do zbytku; winien siostrzan jego, kapłan, co duchownych swych obowiązków dla świeckich spraw zapomina, ks. Suchywilk... jurysta więcej niż kapłan, dworak raczej niż ksiądz... a wreszcie mój najdroższy ojciec, ks. Biskup Bodzanta, który obowiązek czuje, a za długo się ociąga z surowem spełnieniem jego. Lecz tego ja skłonię, na kolanach uproszę, poprowadzę przed króla, a nie... to sam w imieniu jego stanę.

Tak, dodał, unosząc się i oczyma ognistymi wodząc po przytomnych – tak, stanę ja, choćby mnie miał spotkać los Stanisława biskupa, błogosławionej pamięci.

Takiego jak on, mężnego bojownika pańskiego potrzeba nam, a ja, choć rzemyka obóvia świętego męczennika rozwiązać nie jestem godnym – ja, pójdę w jego ślady.

Stojący obok ks. wikariusza Otto ze Szczekarzewic Toporczyk (Neorzy powinowaty i tegoż co on szczytu) z zakąszoną wargą i przymrużonem okiem jednym, począł się uśmiechać nieco szydersko.

Ks. Baryczka dostrzegł ten uśmiech, zmarszczył się groźnie, i pytające ku niemu z gniewem zwrócił oblicze.

– Ojcie mój – z przekąsem odezwał się Otto ze Szczekarzewic – nie te to czasy, w których królowie rozgniewani męczenników czynili z was, a sobie gotowali klątwy i wygnanie... Wiecie co we Wrocławiu król czeski powiedział naszemu biskupowi, gdy mu za zajęcie dóbr klątwą zagrażał? Rozśmiał się obojętnie i rzekł:

– Widzę, że ci się męczeństwa zachciało, ale ja do tego nieskory. Dóbr ci nie oddam i życia nie odbiorę, a o klątwę rozprawim się w Rzymie.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.